

Franz Kafka

Opowiadania

SPIS TREŚCI

| | |
|----------------------------|-----------|
| <u>WYROK</u> | <u>3</u> |
| <u>PRZEMIANA</u> | <u>8</u> |
| <u>I</u> | <u>8</u> |
| <u>II</u> | <u>15</u> |
| <u>III</u> | <u>22</u> |
| <u>GŁODOMÓR</u> | <u>30</u> |
| <u>KOLONIA KARNA</u> | <u>34</u> |

WYROK

Było to niedzielne przedpołudnie, o najpiękniejszej porze wiosennej. Młody kupiec, Georg Bendemann, siedział w swoim pokoju na pierwszym piętrze jednego z tych niskich, lekko zbudowanych domów, które ciągnęły się długim rzędem wzdłuż rzeki, różniąc się niemal tylko wysokością i kolorem. Ukończył właśnie list do jednego z przyjaciół młodości, znajdującego się za granicą, złożył go ruchem zabawnie powolnym, a potem, oparty łokciami na stole, patrzył przez okno na rzekę, na most i wzgórza na drugim brzegu pokryte słabą zielenią.

Myślał o tym, jak ów przyjaciel, niezadowolony ze swego losu w kraju, już przed laty dosłownie uciekł do Rosji. Teraz prowadził w Petersburgu przedsiębiorstwo, które z początku zapowiadało się bardzo dobrze, ale od dłuższego już czasu zdawało się utykać, jak skarżył się przyjaciel przy okazji swoich coraz rzadszych odwiedzin. Tak więc zapracowywał się bezużytecznie na obczyźnie, broda przycięta według obcej mody źle tylko zakrywała znaną mu dobrze od dzieciństwa twarz, której żółta cera zdawała się wskazywać na rozwijającą się chorobę. Nie miał, jak mówił, odpowiednich kontaktów z tamtejszą kolonią rodaków, a także żadnych prawie towarzyskich stosunków z miejscowymi rodzinami, i tak oto przygotowywał się do nieodwołalnego starokawalerstwa.

Cóż tu było pisać człowiekowi, który wyraźnie zamknął się w sobie, którego można żałować, ale nie można mu pomóc. Radzić mu może, aby powrócił do kraju, aby przeniósł tu na nowo swoją egzystencję, nawiązał z powrotem wszystkie stare przyjacielskie stosunki - po czemu nie było żadnej przeszkody - a co do reszty zdał się na pomoc przyjaciół? Nie oznaczało to jednak nic innego, niż gdyby mu się jednocześnie powiedziało, im ostrożniej, tym bardziej obraźliwie, że jego dotychczasowe próby się nie powiodły, że powinien ich w końcu zaniechać, że trzeba, aby powrócił na zawsze, niech tam i wydziwiają wszyscy nad nim, szeroko otwarłszy oczy; że tylko jego przyjaciele byli rozsądni, a on sam jest starym dzieckiem i powinien po prostu słuchać pozostałych w domu przyjaciół, którym się powiodło. A żeby choć pewne było, iż całe to zmartwienie, jakie musiałoby się mu sprawić, będzie celowe! Może nie uda się w ogóle sprowadzić go do kraju - sam przecież mówił, że nie rozumie już stosunków w ojczyźnie - wtedy pomimo wszystko zostanie na swojej obczyźnie, rozgoryczony radami i jeszcze bardziej obcy dla przyjaciół. Jeśli jednak naprawdę posłucha rady i dozna tutaj - oczywiście bez niczyjej winy, ale przez zbieg okoliczności - niepowodzenia, jeżeli będzie czuł się źle tak w gronie przyjaciół, jak i bez nich, jeżeli dozna upokorzenia i teraz już naprawdę nie będzie miał ani ojczyzny, ani przyjaciół - czy nie byłoby w takim razie o wiele lepiej dla niego, gdyby został na obczyźnie, tak jak był? Czyż można bowiem w takich okolicznościach myśleć o tym, że tu istotnie powiedzie mu się lepiej?

Z tych powodów, jeżeli w ogóle jeszcze chciało się utrzymywać z nim kontakt listowny, nie można było przekazywać mu żadnych istotnych wiadomości, jak by się to robiło bez obawy nawet wobec przebywającego najdalej w świecie znajomego. Przyjaciel był już teraz ponad trzy lata poza ojczyzną i tłumaczyć to usiłował niepewnością stosunków politycznych w Rosji, które nie zniosłyby jakoby najkrótszej nawet nieobecności drobnego kupca, podczas gdy dziesiątki tysięcy Rosjan jeździło sobie spokojnie po świecie. Jednak w czasie tych trzech lat zmieniło się wiele właśnie dla Georga. O śmierci matki Georga, która nastąpiła przed jakimi dwoma laty i odtąd Georg żył we wspólnym gospodarstwie ze swoim starym ojcem, przyjaciel jeszcze się dowiedział i listownie wyraził swe współczucie z oschłością, która mogła mieć przyczynę tylko w tym, że na obczyźnie w ogóle nie można sobie wyobrazić żaloby z powodu takiego wydarzenia. Od tego jednak czasu Georg - podobnie jak do wielu innych rzeczy - zabrał się też z większą stanowczością do swego przedsiębiorstwa. Być może, iż za życia matki ojciec przeszkadzał mu w rozwinięciu naprawdę własnej inicjatywy uznając w przedsiębiorstwie tylko swe zdanie, być może, iż od śmierci matki ojciec, jakkolwiek zawsze jeszcze pracował w przedsiębiorstwie, stał się bardziej powściągliwy, może - co nawet było bardzo prawdopodobne - dużo jeszcze ważniejszą rolę odegrały szczęśliwe okoliczności, w każdym razie w tych dwóch latach przedsiębiorstwo rozwinęło się całkiem nieoczekiwanie, musiano podwoić personel, obrót zwiększył się pięciokrotnie i niewątpliwie przyszłość miała przynieść dalszy postęp.

Ale przyjaciel nie miał o tej zmianie żadnego pojęcia. Dawniej, ostatnio zdaje się w owym liście kondolencyjnym, chciał namówić Georga do przeniesienia się do Rosji i rozwodził się nad widokami, które istniały w Petersburgu właśnie dla branży Georga. Liczby, jakie podawał, były znikome w porównaniu ze stanem, jaki przedsiębiorstwo Georga osiągnęło obecnie. Georg nie miał jednak wcale

ochoty pisać przyjacielowi o swoim powodzeniu w interesach, a gdyby zrobił to dopiero teraz, mogłoby to naprawdę wywołać dziwne wrażenie.

A zatem ograniczał się Georg do tego, że pisał przyjacielowi zawsze tylko o wypadkach bez znaczenia, tak jak one bezładnie gromadzą się we wspomnieniu, gdy się człowiek zamyśli w spokojną niedzielę. Pragnął jedynie tego, aby zostawić nietkniętym wyobrażenie, które przyjaciel w ciągu długiego czasu wyrobił sobie o swym mieście rodzinnym i z którym się już pogodził. Tak więc zdarzało się Georgowi, że w dość od siebie odległych listach trzy razy donosił przyjacielowi o zaręczynach jakiegoś obojętnego człowieka z jakąś równie obojętną dziewczyną, aż rzeczywiście przyjaciel, całkiem wbrew intencji Georga, zaczął się interesować tą dziwną sprawą.

Georg jednak o wiele chętniej pisał mu o takich rzeczach, aniżeli miałby się przyznać, że sam zaręczył się przed miesiącem z dziewczyną z zamożnej rodziny, niejaką panną Frydą Brandenfeld.

Często mówił ze swoją narzeczoną o tym przyjacielu i o szczególnym stosunku korespondencyjnym, jaki z nim utrzymywał.

- Wobec tego on wcale nie przyjedzie na nasze wesele - mówiła - a mam przecież prawo poznać wszystkich twoich przyjaciół.

- Nie chcę mu zakłócać spokoju - odpowiadał Georg - zrozum mnie dobrze, on by prawdopodobnie przyjechał, przynajmniej tak myślę, ale mógłby się czuć skrępowany i pokrzywdzony, mógłby mi może zazdrościć, i na pewno niezadowolony, a niezdolny do tego, aby stłumić w sobie to niezadowolenie, wracałby znowu samotnie do swego domu. Samotnie..., rozumiesz, co to znaczy?

- Dobrze, ale czy on i tak nie może się dowiedzieć o naszym małżeństwie w inny sposób?

- Temu oczywiście nie mogę zapobiec, ale przy jego trybie życia jest to mało prawdopodobne.

- Jeśli masz takich przyjaciół, Georg, to w ogóle nie powinienesz być się zaręczać.

- Tak, to jest nasza wspólna wina, ale nawet teraz nie chciałbym, aby było inaczej.

A gdy wtedy ona, podniecona jego pocałunkami, rzuciła jeszcze: - A jednak właściwie mnie to uraża - uznał naprawdę za rzecz niewinną napisać o wszystkim przyjacielowi. „Taki jestem i takim musi mnie przyjąć - powiedział do siebie - nie mogę wykroić z siebie innego człowieka, który nadawałby się może lepiej do tej przyjaźni”.

I rzeczywiście w długim liście, napisanym tego niedzielnego przedpołudnia, w następujących słowach doniósł swemu przyjacielowi o odbytych zaręczynach: „Najlepszą nowinę zachowałem sobie na koniec. Zaręczyłem się z panną Frydą Brandenfeld, dziewczyną z zamożnej rodziny, osiedlonej tutaj dopiero po twoim wyjeździe i której dlatego nie możesz znać. Znajdzie się jeszcze niejedna okazja, żeby napisać ci coś bliższego o mojej narzeczonej, dzisiaj niech ci wystarczy, że jestem naprawdę szczęśliwy i że w naszym wzajemnym stosunku zmieniło się tylko tyle, że zamiast całkiem zwykłego przyjaciela, będziesz miał teraz we mnie przyjaciela szczęśliwego. Poza tym w mojej narzeczonej, która każe cię serdecznie pozdrowić i wkrótce sama do ciebie napisze, zyskujesz szczerą przyjaciółkę, co dla kawalera nie jest całkiem bez znaczenia. Wiem, że wiele spraw powstrzymuje cię od wizyty u nas, ale może właśnie moje wesele byłoby dobrą sposobnością, aby raz odrzucić na bok wszystkie przeszkody? Jakkolwiek by jednak było, nie krępuj się niczym i rób tylko to, co uznasz za stosowne”.

Z tym listem w ręce Georg długo siedział przy stole, z twarzą zwróconą do okna. Znajomemu, który przechodząc ulicą pozdrowił go, zaledwie odpowiedział nieobecny uśmiechem.

Wreszcie włożył list do kieszeni i przez mały korytarz przeszedł ze swego pokoju do pokoju ojca, w którym nie był już od miesięcy. Nie było też żadnej po temu potrzeby, gdyż stale spotykał się z ojcem w przedsiębiorstwie, obiad spożywali razem w restauracji, wieczorem każdy urządzał się wprawdzie według swojej woli, ale przecież zazwyczaj siadali jeszcze na chwilę w salonie, każdy ze swoją gazetą, chyba że Georg, jak się najczęściej zdarzało, był z przyjaciółmi albo odwiedzał narzeczoną.

Georg dziwił się, jak ciemny był pokój ojca nawet w to słoneczne przedpołudnie - tak wielki cień rzucał wysoki mur, który wznosił się z drugiej strony wąskiego podwórza. Ojciec siedział przy oknie w kącie ozdobionym różnymi pamiątkami po nieboszczce matce i czytał gazetę, którą trzymał z boku przed oczami, przez co chciał wyrównać jakąś wadę wzroku. Na stole stały resztki śniadania, z którego, jak się zdawało, niewiele zjedzono.

- Ach, Georg - powiedział ojciec i zaraz wyszedł mu naprzeciw. Ciężki szlafrok rozsuwał się w chodzie, a jego poły fruwały wokół idącego.

„Mój ojciec wciąż jeszcze jest olbrzymem” - powiedział sobie Georg. - Tu jest przecież nieznośnie ciemno - rzekł potem.

- Tak, ciemno to tu jest - powiedział ojciec.

- Okno także zamknęłaś?

- Tak wolę.

- Na dworze jest przecież całkiem ciepło - powiedział Georg, jakby myśląc jeszcze o tym, co rzekł poprzednio, i usiadł.

Ojciec usunął zastawę ze śniadaniem i postawił ją na komodzie.

- Właściwie chciałem ci tylko powiedzieć - ciągnął Georg, który zupełnie nieobecny duchem śledził ruchy starego człowieka - że dałem wreszcie jednak znać do Petersburga o moich zaręczynach. - Wysunął nieco list z kieszeni i wsunął go do niej z powrotem.

- Do Petersburga? - zapytał ojciec.

- Memu przyjacielowi, oczywiście - powiedział Georg i szukał oczu ojca. „W przedsiębiorstwie jest jednak zupełnie inny - myślał - niż teraz, gdy siedzi tutaj rozparty, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami”.

- Tak. Twemu przyjacielowi - powiedział ojciec z naciskiem.

- Wiesz przecież, ojcze, że z początku chciałem przemilczeć przed nim moje zaręczyny. Tylko przez wzgląd na niego, z żadnego innego powodu. Wiesz sam, to jest trudny człowiek. Powiedziałem sobie, że może się dowiedzieć o moich zaręczynach skądinąd, choć jest to mało prawdopodobne przy jego samotnym trybie życia - temu nie mogę przeszkodzić - ale ode mnie samego nie powinien się tego nigdy dowiedzieć.

- A teraz rozmyśliłeś się? - zapytał ojciec i położył wielką gazetę na parapecie okna, a na gazecie okulary, które przykrył ręką.

- Tak, teraz rozmyśliłem się. Jeśli jest moim dobrym przyjacielem, powiedziałem sobie, to moje szczęśliwe zaręczyny są i dla niego szczęściem. I dlatego nie zwlekałem już z zawiadomieniem go. Zanim jednak wrzucę list, chciałem ci o tym powiedzieć.

- Georg - powiedział ojciec i otworzył szeroko bezzębne usta - posłuchaj mnie! Przyszedłeś do mnie z powodu tej sprawy, aby się mnie poradzić. Przynosi ci to zaszczyt, bez wątpienia. Ale to jest nic, to jest mniej niż nic, jeśli nie powiesz mi teraz całej prawdy. Nie chcę poruszać spraw, które nie mają z tym nic wspólnego. Od śmierci naszej drogiej matki zdarzyły się pewne nieladne sprawy. Być może i na nie przyjdzie czas i może przyjdzie wcześniej, niż myślimy. W przedsiębiorstwie niejedno uchodzi mej uwagi, możliwe, że nie ukrywa się niczego przede mną - nie chcę teraz wcale przypuszczać, że się ukrywa - nie jestem już dość silny, pamięć mnie zawodzi, nie mam już jasnego spojrzenia na wszystko. To, po pierwsze, jest sprawa wieku, a po drugie, śmierć naszej mateczki dotknęła mnie o wiele bardziej niż ciebie. Ale ponieważ jesteśmy właśnie przy tej sprawie, przy tym liście, proszę cię, Georg, nie oszukuj mnie. To jest drobiazg, nawet mówić o tym nie warto, wobec tego nie oszukuj mnie. Czy naprawdę masz tego przyjaciela w Petersburgu?

Georg powstał zmieszany.

- Zostawmy moich przyjaciół. Tysiąc przyjaciół nie zastąpi mi ojca. Wiesz, co sobie myślę? Nie szanujesz się dostatecznie. A wiek domaga się swoich praw. Jesteś mi w przedsiębiorstwie niezbędny, przecież sam o tym wiesz dobrze. Ale jeżeli przedsiębiorstwo ma zagrażać twemu zdrowiu, to już jutro zamknę je na zawsze. Tak być nie może. Musimy wprowadzić dla ciebie inny tryb życia. Zupełnie inny. Siedzisz tu w ciemności, a w salonie miałbyś piękne światło. Dziobiesz tu śniadanie, zamiast solidnie się posilać. Siedzisz przy zamkniętym oknie, a powietrze tak dobrze by ci zrobiło. Nie, mój ojcze! Sprowadzę lekarza i będziemy słuchać jego zaleceń. Zamienimy pokoje, ty sprowadzisz się do frontowego, a ja tutaj. Nie sprawi ci to żadnej różnicy, wszystko przeniesie się razem z tobą. Ale na to wszystko jest czas, teraz połóż się jeszcze trochę do łóżka, bezwarunkowo potrzebujesz spokoju. Chodź, pomogę ci przy rozbieraniu, zobaczysz, ja to potrafię. A może chcesz od razu przejść do pokoju frontowego, to położysz się na razie do mojego łóżka. To zresztą byłoby bardzo rozsądne. Georg stanął tuż przy ojcu, który opuścił na piersi głowę z nastroszonymi białymi włosami.

- Georg - powiedział ojciec po cichu, nie ruszając się.

Georg natychmiast ukląkł obok ojca i zobaczył w jego zmęczonej twarzy skierowane na siebie źrenice, nienaturalnie wielkie w kącikach oczu.

- Nie masz żadnego przyjaciela w Petersburgu. Zawsze byłeś skory do żartów i nawet przede mną się od nich nie powstrzymywałeś. Dlaczego miałbyś właśnie tam mieć przyjaciela! Zupełnie nie mogę w to uwierzyć.

- Ależ pomyśl tylko, ojcze - powiedział Georg, podniósł ojca z krzesła i ściągnął z niego, tak jak stał przed nim bardzo osłabiony, szlafrok - będzie teraz wkrótce trzy lata, jak przyjaciel mój był u nas z wizytą. Przypominam sobie jeszcze, że niezbyt go lubiłeś. Co najmniej dwa razy ukryłem to przed tobą, a jednak to właśnie on siedział u mnie w pokoju. Rozumiałem zresztą dobrze twoją niechęć do niego, gdyż przyjaciel mój ma swoje dziwactwa. Ale potem rozmawiałeś z nim przecież znowu bardzo uprzejmie. Byłem wtedy jeszcze taki dumny z tego, że słuchałeś go, kiwałeś głową i zadawałeś mu

pytania. Gdy tylko pomyślisz, musisz to sobie przypomnieć. Opowiadał wtedy niewiarygodne historie o rosyjskiej rewolucji. Jak na przykład podczas jakiejś podróży handlowej widział w czasie zamieszek w Kijowie, na balkonie, jakiegoś księdza, który wyciął sobie na dłoni szeroki, krwawy krzyż, podniósł do góry rękę i przemawiał do tłumu. Sam przecież opowiadałeś później tu i ówdzie tę historię.

Tymczasem udało się Georgowi posadzić ojca z powrotem i ostrożnie ściągnąć mu trykotowe spodnie, które nosił na płóciennych kalesonach, oraz skarpetki. Spojrzawszy na niezbyt czystą bieliznę robił sobie wyrzuty, że zaniedbywał ojca. Przecież czuwanie nad zmianą bielizny ojca należało na pewno także do jego obowiązków. Nie rozmawiał jeszcze dotąd z narzeczoną bliżej o tym, jak urządzić przyszłość ojca, gdyż milcząco zgadzali się, że ojciec zostanie sam w starym mieszkaniu. Teraz jednak postanowił natychmiast, całkiem stanowczo, że zabiorą ojca ze sobą na swoje przyszłe gospodarstwo. Spojrzawszy na to bliżej, zdawało się prawie, że starania, którymi trzeba tam będzie ojca otoczyć, mogą i tak być spóźnione.

Na rękach zaniósł ojca do łóżka. Ogarnęło go straszne uczucie, gdy idąc tych parę kroków do łóżka zauważył, że ojciec bawi się na jego piersi łańcuszkiem od zegarka. Nie mógł go od razu położyć do łóżka, tak mocno trzymał się ojciec tego łańcuszka.

Zaledwie jednak znalazł się w łóżku, wszystko, zdawało się, było już dobrze. Przykrył się sam, a nawet specjalnie wysoko naciągnął kołdrę na ramiona. I patrzył na Georga bynajmniej nie wrogo.

- Prawda, że już go sobie przypominasz? - zapytał Georg i zachęcająco kiwnął głową.

- Czy jestem teraz dobrze przykryty? - zapytał ojciec, jak gdyby nie mógł zobaczyć, czy nogi były dostatecznie przysłonięte.

- A więc już ci się podoba w łóżku - powiedział Georg i okrył go lepiej kołdrą.

- Czy jestem dobrze przykryty? - zapytał ojciec raz jeszcze i zdawał się ze szczególną uwagą czekać na odpowiedź.

- Ależ bądź spokojny, jesteś dobrze przykryty.

- Nie! - krzyknął ojciec, tak że odpowiedź zderzyła się z pytaniem, odrzucił kołdrę z taką siłą, iż rozwinęła się cała w locie, i stanął wyprostowany na łóżku. Jedną tylko ręką dotykał lekko sufitu. - Chciałbyś mnie przykryć, wiem o tym, nicponiu, ale jeszcze nie jestem przykryty. I jeśli to już resztki mych sił, starczy ich dla ciebie, za dużo ich nawet dla ciebie. Dobrze znam twojego przyjaciela. To byłby syn, jakiego bym pragnął. Dlatego też oszukiwałeś go przez całe lata. Bo dlaczegoż by innego? Czy myślisz, że nie płakałem z powodu niego? Dlatego przecież zamykasz się w swoim biurze, nikomu nie wolno przeszkadzać, szef jest zajęty... tylko dlatego, abyś mógł pisać do Rosji swoje fałszywe liściki. Ale na szczęście nikt nie musi uczyć ojca, jak przejrzeć syna. I teraz, kiedy uwierzyłeś, żeś go zgnębił, tak zgnębił, że możesz sobie sięść na nim własnym tyłkiem, a on się nie ruszy, teraz zdecydował się mój pan syn na małżeństwo!

Georg patrzył na koszmarną twarz ojca. Przyjaciel z Petersburga, którego ojciec nagle znalazł tak dobrze, wzruszył go jak nigdy dotąd. Patrzył na niego, zagubionego w dalekiej Rosji. Patrzył na niego, jak stoi w drzwiach pustego, splądrowanego przedsiębiorstwa. Między szczątkami pólek, między rozdartymi towarami, odpadającymi przewodami gazowymi stał jeszcze właśnie on. Dlaczego musiał wyjechać tak daleko!

- Ależ patrz na mnie!. - krzyknął ojciec i Georg podbiegł, niemal w roztargnieniu, do łóżka, aby zrozumieć wszystko, ale utknął w połowie drogi. - Ponieważ podniosła spódnicę - zaczął piszczeć ojciec - ponieważ podniosła tak spódnicę, obrzydliwa gęś - i aby to pokazać, podniósł koszulę tak wysoko, że można było zobaczyć na jego udzie bliznę z lat wojennych - ponieważ podniosła spódnicę, o tak, tak, tak, zbliżyłeś się do niej, i abyś się mógł przy niej bez przeszkód zaspokoić, zhańbiłeś pamięć naszej matki, zdradziłeś przyjaciela i położyłeś do łóżka twego ojca, aby nie mógł się ruszyć. Ale on potrafi się ruszyć, może nie?

I stanął zupełnie swobodnie, i wymachiwał nogami. Promieniał przenikliwością.

Georg stał w kącie, możliwie daleko od ojca. Już od dłuższej chwili postanowił obserwować wszystko zupełnie dokładnie, aby nie dać się zaskoczyć w jakikolwiek sposób z boku, z tyłu, z góry. Teraz przypominał sobie znowu o zapomnianym od dawna postanowieniu i zapomniał o nim, tak jak przeciąga się krótką nitką przez ucho igielne.

- Ale przyjaciel nie jest przecież zdradzony! - krzyknął ojciec, a jego ruszający się w tę i w tamtą stronę palec wskazujący potwierdzał to. - Byłem tu jego zastępcą.

- Komediant! - Georg nie mógł się powstrzymać od okrzyku, poznał zaraz, że zrobił głupstwo, wytrzeszczyszy oczy ugryzł się, niestety za późno, w język, aż zgiał się w bólu.

- Tak, oczywiście, że grałem komedię! Komedia! Dobre słowo! Jakaż inna pociecha została staremu, owdowiałemu ojcu? Powiedz, i na ten moment odpowiedzi bądź jeszcze moim żywym synem, cóż mi

pozostało w moim tylnym pokoju, mnie, prześladowanemu przez niewierny personel, mnie, któremu starość weszła już w kości? A mój syn szedł radośnie przez świat, robił interesy, które ja przygotowałem, wywracał koziołki z rozkoszy i mijał swego ojca z nieprzeniknioną twarzą człowieka honoru! Czy sądzisz, że nie byłbym cię kochał, ja, od którego pochodzisz?

„Teraz się pochyli - myślał Georg - gdyby upadł i roztrzaskał się”. To słowo przebiegło z sykiem przez jego głowę.

Ojciec pochylił się, ale nie upadł. A ponieważ Georg nie zbliżył się, jak tego oczekiwał, podniósł się znowu.

- Zostań, gdzie jesteś, nie potrzebuję cię! Myślisz sobie, że masz jeszcze dość siły, aby tu przyjść, a tylko trzymasz się z tyłu, bo tak chcesz. Żebyś się tylko nie pomylił! Ja wciąż jeszcze jestem o wiele silniejszy. Sam musiałbym się może cofnąć, ale to matka oddała mi swoje siły, połączyłem się, jakież to wspaniale, z twoim przyjacielem, twoją klientelę mam tutaj w kieszeni!

„On nawet w koszuli ma kieszenie” - powiedział sobie Georg i myślał, że tym spostrzeżeniem mógłby go uczynić nieznośnym dla całego świata. Pomyślał o tym tylko na chwilę, gdyż ciągle zapominał o wszystkim.

- Uwies się tylko swojej narzeczonej i wyjdź mi naprzeciw! Odbiję ci ją, nawet nie będziesz wiedział jak!

Georg wykrzywił twarz, jakby w to nie wierzył. Ojciec kiwał tylko głową w kierunku kąta Georga, zaświadczać prawdę tego, co mówił.

- Jakże mnie dziś bawiłeś, gdyś przyszedł i pytał, czy powinieneś napisać przyjacielowi o zaręczynach.

On wie przecież wszystko, głupi chłopcze, wie wszystko. Napisałem mu, gdyś zapomniałeś odebrać mi przybory do pisania. Dlatego już od lat nie przyjeżdża, wie przecież o wszystkim tysiąc razy lepiej niż ty sam, twoje listy nieczytane mnie w lewej ręce, podczas gdy w prawej trzyma rozłożone do czytania listy ode mnie.

Z zachwytem wymachiwał ręką ponad głową.

- On wie wszystko tysiąc razy lepiej! - krzyczał.

- Dziesięć tysięcy razy - powiedział Georg, aby wyśmiać ojca, ale w jego ustach słowo to nabrało dźwięku śmiertelnie poważnego.

- Od lat już czekam, aż przyjdiesz z tym pytaniem! Myślisz, że mam inne zmartwienia? Myślisz, że czytam gazety? Patrz! - i rzucił Georgowi gazetę, która w jakiś sposób została przeniesiona razem z nim na łóżko. Była to stara gazeta, z zupełnie już nieznanym Georgowi tytułem.

- Jakże długo wahałeś się, zanim się stałeś dojrzały. Matka musiała umrzeć, nie mogła doczekać się dnia radości, przyjaciel ginie w tej swojej Rosji, już przed trzema laty był tak żółty, że nadawał się na śmietnik, a ja, widzisz sam, jak jest ze mną. Po to przecież masz oczy.

- Czyhałeś więc na mnie! - krzyknął Georg.

Ojciec powiedział mimochodem, ze współczuciem:

- Prawdopodobnie chciałeś to powiedzieć wcześniej. Teraz nie ma to już żadnego sensu.

I głośniej:

- Więc teraz już wiesz, że istnieli jeszcze inni poza tobą, dotychczas wiedziałeś tylko o sobie. Byłeś właściwie niewinnym dzieckiem, ale jeszcze właściwiej byłeś diabelskim człowiekiem! I dlatego wiedz: skazuję cię teraz na śmierć przez utopienie!

Georg uczuł się wypędzonym z pokoju, a w uszach brzmiał mu jeszcze hałas, z jakim ojciec z tyłu za nim zwałił się na łóżko. Na schodach, po stopniach których pędził jak po równi pochyłej, przestraszył posługaczkę wchodzącą właśnie, by po nocy posprzątać mieszkanie.

- Jezu! - krzyknęła i zakryła fartuchem twarz, ale jego już nie było.

Wyskoczył z bramy, pędziło go przez jezdnię do wody. Już trzymał mocno poręcz, jak człowiek głodny - jedzenie. Przerzucił nogi ponad nią jak znakomity gimnastyk, którym - ku dumie rodziców - był w latach młodości. Jeszcze trzymał się mocno słabnącymi dłońmi, wypatrzył między prętami balustrady jakiś omnibus, który z łatwością zagłuszyłby jego upadek, krzyknął z cicha:

- Drodzy rodzice, zawsze was przecież kochałem - i runął w dół.

Na moście był w tym momencie ruch wprost nieskończony.

PRZEMIANA

I

Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łóżku w potwornego robaka.

Leżał na grzbiecie twardym jak pancerz, a kiedy uniósł nieco głowę, widział swój sklepiony, brązowy, podzielony sztywnymi lukami brzuch, na którym ledwo mogła utrzymać się całkiem już ześlizgująca się kołdra. Liczne, w porównaniu z dawnymi rozmiarami, żałośnie cienkie nogi migały mu bezradnie przed oczami.

„Co się ze mną stało?” - myślał. To nie był sen. Jego pokój, prawdziwy, nieco tylko zbyt mały ludzki pokój, mieścił się spokojnie wśród czterech dobrze znanych ścian. Nad stołem, na którym rozpościerała się rozpakowana kolekcja towarów tekstylnych - Samsa był komiwojażerem - wisiał obraz, wycięty przez niego niedawno z ilustrowanego czasopisma i umieszczony w ładnej pozłacanej ramce. Obraz przedstawiał jakąś damę w futrzanej czapce i boa. Siedziała wyprostowana, a ciężką, futrzaną muffkę, w której znikало jej całe przedramię, wznosiła naprzeciw widza.

Następnie Gregor skierował wzrok ku oknu i posępna pogoda - słyszało się krople deszczu uderzające o blaszany parapet - wtrąciła go w całkowitą melancholię. „A gdybym tak jeszcze trochę pospał i zapomniał o wszystkich głupstwach” - pomyślał. Było to jednak zupełnie nieosiągalne, gdyż przyzwyczaił się sypiać na prawym boku, a w swym obecnym stanie nie mógł przybrać tej pozycji.

Jakkolwiek silnie przewracał się na prawy bok, wciąż padał z powrotem na grzbiet. Próbował tego chyba ze sto razy, zamykał oczy, żeby nie patrzeć na trzepoczące nogi, a przestał dopiero wówczas, gdy zaczął odczuwać nieznaną mu dotychczas lekki, tępy ból w boku.

„Ach, Boże - pomyślał - cóż za wyczerpujący zawód sobie obrałem! Dzień po dniu w podróży. Interesy są znacznie bardziej denerwujące niż we właściwym sklepie na miejscu, a do tego dochodzi plaga wyjazdów, troska o połączenia kolejowe, nieregularny, kiepski wikt, zawsze zmienne, zawsze nietrwale, nigdy nie poparte serdecznością kontakty z ludźmi. Do diabła z tym wszystkim!” Poczul lekkie swędzenie na brzuchu; z wolna przesunął się na grzbiecie ku poręczy łóżka, by móc lepiej unieść głowę, odnalazł swędzące miejsce, obsypane małymi, białymi punkcikami, których pochodzenia nie umiał ustalić. Chciał obmacać to miejsce jedną z nóg, ale zaraz ją cofnął, gdyż przy dotknięciu przeszył go zimny dreszcz.

Znów się prześliznął do swojej poprzedniej pozycji. „To wczesne wstawanie - myślał - zupełnie ogłupia. Człowiek musi się wyspać. Inni komiwojażerzy żyją jak damy haremowe. Gdy ja, na przykład, w ciągu przedpołudnia wracam do gospody, żeby przepisać otrzymane zamówienia, ci panowie siedzą dopiero przy śniadaniu. Gdybym ja spróbował tego przy moim szefie, z miejsca bym wyleciał. Kto wie zresztą, czy tak nie byłoby dla mnie najlepiej. Gdyby mnie nie powstrzymywał wzgląd na rodziców, dawno bym wypowiedział, poszedłbym do szefa i z serca wygarnąłbym mu wszystko, co myślę. Spadłby z biurka! To także jest szczególny sposób: siadać na biurku i z wysoka rozmawiać z pracownikiem, który w dodatku musi podejść całkiem blisko, bo szef źle słyszy. No, nadzieja nie jest jeszcze całkiem stracona, gdy zbiorę wreszcie pieniądze, by spłacić mu dług rodziców - może to jeszcze trwać pięć do sześciu lat - załatwię tę sprawę bezwarunkowo. Wtedy zrobi się to wielkie cięcie. Na razie pewnie muszę wstawać, bo mój pociąg odchodzi o piątą”.

I spojrzął na budzik, który tykał na komodzie. „Ojciec niebieski!” - pomyślał. Było wpół do siódmej, a wskazówki spokojnie szły naprzód, było już nawet dalej niż pół, zbliżały się trzy kwadransy. Czyżby budzik nie dzwonił? Widać było z łóżka, że nastawiony był prawidłowo na godzinę czwartą; na pewno też dzwonił. Tak, ale czy to możliwe, żeby spokojnie przespać ten dzwonek tak przeraźliwy, że aż drżą meble? No, spokojnie co prawda nie spał, ale prawdopodobnie tym mocniej. Cóż jednak powinien teraz zrobić? Następny pociąg odchodzi o siódmej, aby na niego zdążyć, musiałby się szalenie śpieszyć, a kolekcja nie była jeszcze spakowana i on sam nie czuł się szczególnie świeżym i ruchliwym. A nawet jeśli złapie pociąg, nie uniknie przekleństw szefa, gdyż woźny firmy czekał przy pociągu o piątą i dawno już musiał złożyć meldunek o jego zaniedbaniu. Był on kreaturą szefa, pozbawioną kośćca i rozsądku. A gdyby zgłosił, że jest chory? To byłoby jednak bardzo nieprzyjemne i podejrzone, gdyż Gregor podczas swej pięcioletniej służby ani razu jeszcze nie chorował. Na pewno szef przyszedłby razem z lekarzem Kasy Chorych, robiłby wymówki rodzicom z powodu lenistwa ich syna i odrzucałby wszelkie

tłumaczenia powołując się na lekarza Kasy Chorych, dla którego w ogóle istnieli tylko ludzie zupełnie zdrowi, lecz bojący się pracy. A zresztą, czy w tym wypadku tak całkiem nie miałby racji?

Rzeczywiście, pominąwszy istotnie nadmierną senność po długim śnie, Gregor czuł się całkiem dobrze, odczuwał nawet szczególnie silny głód.

Gdy wszystko to rozważał w największym pośpiechu, nie mogąc się zdecydować na opuszczenie łóżka - budzik wybił właśnie trzy kwadransy na siódmą - ktoś ostrożnie zapukał do drzwi u wezłowania.

- Gregor - zawołał ktoś, była to matka - jest trzy na siódmą. Czy nie miałeś jechać?

Ten łagodny głos! Gregor przestraszył się, gdy w odpowiedzi usłyszał swój własny. Zapewne, był to niezaprzeczenie jego dawny głos, ale mieszał się z nim, jak gdyby spod niego się dobywający i niedający się stłumić, bolesny pisk, który tylko w pierwszej chwili pozostawiał słowom ich właściwy dźwięk, aby w dalszym ich brzmieniu zniszczyć go tak dalece, że nie wiedziało się, czy się dobrze słyszy.

Gregor chciał szczegółowo odpowiedzieć, ale w tych warunkach ograniczył się tylko do powiedzenia:

- Tak, tak, dziękuję, mam, już wstaję.

Pewnie z powodu drewnianych drzwi zmiana w głosie Gregora nie dała się zauważyć na zewnątrz, bo matka, uspokojona tym wyjaśnieniem, poczłapała z powrotem. Ale ta krótka rozmowa zwróciła uwagę innych członków rodziny na to, że Gregor wbrew oczekiwaniu jest jeszcze w domu, i już stukał lekko, lecz pięścią, ojciec do jednych z bocznych drzwi.

- Gregor, Gregor! - wołał. - Co się stało? - A po krótkiej chwili napomniął go raz jeszcze donośniejszym głosem: - Gregor, Gregor!

Przy drugich bocznych drzwiach cicho żaliła się siostra:

- Gregor? Czy źle się czujesz? Potrzeba ci czegoś?

Gregor odpowiadał na obie strony:

- Już jestem gotów - i starał się usilnie przez najdokładniejszą wymowę i wtrącanie długich pauz między pojedynczymi słowami pozbawić swój głos tego, co było w nim niezwykle. Ojciec także wrócił do śniadania, lecz siostra szeptała:

- Gregor, zaklinam cię, otwórz.

Gregor jednak nie myślał nawet o tym, by otworzyć.

Owszem, chwalił sobie nabytą w podróży ostrożność, która i w domu kazała mu zamykać na noc wszystkie drzwi.

Chciał najpierw wstać spokojnie i bez przeszkód, ubrać się i przede wszystkim zjeść śniadanie, a dopiero potem zastanowić się nad dalszymi krokami, gdyż zdawał sobie sprawę, że w łóżku nie doprowadzi swych rozmyślań do żadnego rozsądnego końca. Przypomnił sobie, że często już zdarzało mu się w łóżku odczuwać lekki ból, będący może wynikiem niewłaściwego leżenia, który następnie, po wstaniu, okazywał się czystym urojeniem, i oczekiwał w napięciu, jak jego dzisiejsze wyobrażenia z wolna się rozwieją. Co do tego, że zmiana głosu nie była niczym innym jak zwiastunem silnego przeziębienia, zawodowej choroby podróżującego agenta, nie miał najmniejszych wątpliwości.

Odrzucenie kołdry przyszło bardzo łatwo; wystarczyło tylko nieco się nadać, a spadła sama. Dalej jednak szło gorzej, zwłaszcza dlatego że był tak niezwykle szeroki. Aby się podźwignąć, musiałby użyć ramion i rąk, ale zamiast nich posiadał tylko wiele nóżek, które bez przerwy wykonywały najrozmaitsze ruchy i których w dodatku nie mógł opanować. Gdy chciał jedną z nich zgąć, od razu się wyprostowała, a gdy udało mu się wreszcie wykonać tą nóżką, co pragnął, to wszystkie inne tymczasem, jakby uwolnione z więzów, poruszały się w najwyższym, bolesnym podnieceniu. „Tylko nie zostawać beużytecznie w łóżku” - mówił sobie Gregor.

Najpierw chciał wyjść z łóżka dolną częścią ciała, lecz owa dolna część, której zresztą jeszcze nie widział i o której nie mógł też wyrobić sobie właściwego wyobrażenia, okazała się zbyt ciężka, aby ją poruszyć. Szło to tak powoli, że kiedy w końcu, doprowadzony niemal do wściekłości, zebrawszy siły rzucił się nieopatrznie do przodu, obrał zły kierunek, gwałtownie uderzył o dolną krawędź łóżka, a piekący ból, którego doznał, pouczył go, że obecnie właśnie dolna część jego ciała jest prawdopodobnie najbardziej uczulona.

Wobec tego próbował wydostać się najpierw górną częścią tułowia i ostrożnie zwrócił głowę ku brzegowi łóżka. To udało się łatwo, a całe ciało - mimo jego szerokości i ciężaru - podążyło w końcu z wolna za ruchem głowy. Ale gdy trzymał wreszcie głowę poza łóżkiem, w otwartej przestrzeni, uczuł strach przed dalszym posuwaniem się naprzód, bo gdyby w końcu tak opadł, trzeba by chyba cudu, żeby uchronić głowę przed zranieniem. A właśnie teraz za żadną cenę nie mógł stracić przytomności; wołał już pozostać w łóżku.

Kiedy jednak, wzdychając po nowym wysiłku, ułożył się z powrotem tak jak przedtem i znów zobaczył swe nóżki ruszające się bardziej jeszcze - o ile to możliwe - niespokojnie i gdy nie znalazł

żadnej możliwości zaprowadzenia w tej anarchii ładu i porządku, powiedział sobie wreszcie, że nie może pozostać w łóżku i najrozsądniej będzie zrobić wszystko, byle tylko przy najbliższej sposobności z łóżka się uwolnić. Wśród tego jednak starał się nie zapominać o tym, że od rozpaczliwych postanowień znacznie lepsza jest spokojna, najspokojniejsza rozważa. W takich momentach patrzył w okno, jak mógł najprzenikliwiej, lecz niestety widok porannej mgły, przesłaniającej nawet przeciwną stronę wąskiej ulicy, przynosił niewiele otuchy i pokrzepienia. „Już siódma - powiedział sobie przy nowym uderzeniu budzika - już siódma, a wciąż jeszcze taka mgła”. I przez chwilę leżał spokojnie, wstrzymując oddech, jakby od pełnej ciszy oczekiwał powrotu rzeczywistych i zrozumiałych stosunków.

Lecz później rzekł sobie:

„Zanim wybiję kwadrans na ósmą, muszę - bezwarunkowo i na dobre opuścić łóżko. Zresztą do tej pory przyjdzie pewnie zapytać o mnie ktoś z firmy, bo firma otwiera się przed siódmą”.

I teraz starał się o to, by całkowicie i równomiernie wykołysać z łóżka swe ciało w całej jego długości. Gdyby w ten sposób doprowadził je do wypadnięcia z łóżka, głowa, którą przy upadku miał zamiar ostro zdrzeć, pozostałaby prawdopodobnie nieuszkodzona. Grzbiet zdawał się być twardy - przy upadku na dywan nic mu się chyba nie stanie.

Najbardziej dokuczala mu myśl o głośnym loskocie, który się prawdopodobnie rozlegnie i wywoła jeśli nie przestrasz, to przynajmniej zaniepokojenie za wszystkimi drzwiami. Na to jednak musiał się odważyć.

Gdy Gregor już do połowy wystawał z łóżka - nowa metoda była raczej zabawą niż wysiłkiem, musiał tylko kołysać się na grzbiecie, lekko się przesuując - wpadło mu do głowy, jak łatwe byłoby to wszystko, gdyby ktoś przyszedł mu z pomocą. Dwoje silnych ludzi - pomyślał o ojcu i o służącej - zupełnie by wystarczyło; musieliby tylko wsunąć ramiona pod jego sklepiony grzbiet, w ten sposób wyjąć go z łóżka, pochylić się z ciężarem, a potem jedynie dopilnować, aby wykonał przeskok na podłogę, gdzie później zapewne jego nóżki znalazłyby zastosowanie. Tak, lecz pominąwszy już to, że drzwi były zamknięte na klucz, czy rzeczywiście miałby wołać o pomoc? Mimo swego trudnego położenia nie mógł powstrzymać uśmiechu na tę myśl.

Był już tak daleko, że przy silniejszym kołysaniu się ledwie utrzymywał równowagę i zaraz musiał powziąć ostateczną decyzję, bo do kwadransa na ósmą brakowało pięciu minut, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach od mieszkania. „To ktoś z przedsiębiorstwa” - powiedział do siebie i niemal struchlał, podczas gdy jego nóżki tańczyły tym szybciej. Przez moment trwała cisza. „Nie otwierają” - powiedział sobie Gregor, opanowany jakąś obłądną nadzieją. Lecz potem naturalnie służąca podeszła jak zwykle silnym krokiem do drzwi i otworzyła. Gregorowi wystarczyło, że usłyszał pierwsze powitalne słowo przybyłego, i wiedział już, kto to był - sam prokurent. Dlaczego tylko Gregor skazany był na pracę w firmie, w której najmniejsze zaniedbanie sprowadzało zaraz największe podejrzenie? Czyż wszyscy pracownicy razem wzięci byli lajdakami, czyż nie było wśród nich żadnego godnego zaufania, oddanego człowieka, który jeżeli nawet nie wykorzystał dla firmy tych kilku porannych godzin, szalał z powodu wyrzutów sumienia i nie był po prostu w stanie opuścić łóżka? Czy doprawdy nie wystarczyłoby wysłać z zapytaniem praktykanta - jeśli w ogóle to wypytywanie było konieczne - czy musiał tu przychodzić sam prokurent i czy trzeba było pokazywać przez to całej niewinnej rodzinie, że zbadanie tej podejrzanej okoliczności mogło być powierzone tylko rozumowi prokurenta? I bardziej z powodu wzburzenia, w które wpadł Gregor przez te rozważania, niż wskutek istotnej decyzji, z całą siłą wyleciał z łóżka.

Wywołało to głośnie uderzenie, lecz nie właściwy loskot. Dywan osłabił nieco upadek, a także grzbiet był bardziej elastyczny, niż Gregor myślał, toteż rozległ się jedynie niezbyt donośny, głuchy stuk.

Głowy tylko nie trzymał dość ostrożnie i stłukł ją; kręcił nią i tarł o dywan z bólu i irytacji.

- Coś tam upadło - powiedział prokurent w pokoju po lewej stronie.

Gregor próbował sobie wyobrazić, czy prokurentowi nie mogłoby się zdarzyć kiedyś coś takiego, co dziś zdarzyło się jemu; właściwie trzeba przecież było brać taką możliwość pod uwagę. Ale jak gdyby w brutalnej odpowiedzi na to pytanie, prokurent w sąsiednim pokoju zrobił teraz kilka zdecydowanych kroków, zaskrzypiała przy tym jego lakiery. Z pokoju po prawej stronie siostra, chcąc zawiadomić Gregora, szepnęła:

- Gregor, przyszedł prokurent.

- Wiem - powiedział Gregor, lecz nie odważył się podnieść głosu na tyle, by siostra mogła go usłyszeć.

- Gregor - mówił teraz ojciec z pokoju po lewej stronie. - Przyszedł pan prokurent i pyta, dlaczego nie odjechałeś rannym pociągiem. Nie wiemy, co mu odpowiedzieć. On zresztą chce też pomówić z tobą osobiście. Więc proszę, otwórz drzwi. Pan prokurent będzie już tak dobry i wybaczy nieporządek w pokoju.

- Dzień dobry, panie Samsa - przerwał głośno, lecz przyjaźnie prokurent.

- On się źle czuje - mówiła matka do prokurenta, podczas gdy ojciec przemawiał jeszcze przez drzwi.

- On się źle czuje, proszę mi wierzyć, panie prokurencie. Jakże mógłby Gregor inaczej nie przyjść na pociąg! Chłopak ma w głowie tylko firmę i nic więcej. Już się prawie złościłam o to, że nigdy wieczorem nie wychodzi; teraz był przecież osiem dni w mieście, ale każdy wieczór spędzał w domu.

Siedzi tutaj z nami przy stole i spokojnie czyta gazetę albo studiuje rozkłady jazdy. Kiedy pracuje laubzegą, to już dla niego rozrywka. O, na przykład, przez dwa czy trzy wieczory wyciął małą ramkę, zdziwi się pan, jaka ładna, wisi tam w pokoju. Zaraz ją pan zobaczy, jak tylko Gregor otworzy. Zresztą jestem szczęśliwa, że pan przyszedł, panie prokurencie, my sami nie zdołalibyśmy namówić Gregora, żeby otworzył drzwi, on jest taki uparty i na pewno źle się czuje, choć rano się do tego nie przyznawał.

- Zaraz przyjdę - powiedział Gregor powoli i z namysłem i nie ruszał się, by nie stracić ani słowa z rozmowy.

- Ja też nie mogę sobie tego inaczej wytłumaczyć, łaskawa pani - powiedział prokurent. - Miejmy nadzieję, że to nic poważnego, choć z drugiej strony muszę powiedzieć, że my, ludzie interesu - niestety czy na szczęście, jak kto chce - bardzo często ze względów handlowych nie możemy po prostu zwracać uwagi na lekką niedyspozycję.

- No więc, czy pan prokurent może już wejść do ciebie? - pytał niecierpliwy ojciec i powtórnie pukał do drzwi.

- Nie - powiedział Gregor.

W pokoju po lewej stronie zapadło nieprzyjemne milczenie, w pokoju po prawej siostra zaczęła lkać.

Dlaczego jednak siostra nie poszła do tamtych? Musiała pewnie dopiero teraz wstać z łóżka i jeszcze nawet nie zaczęła się ubierać. I dlaczego płakała? Dlatego że nie wstał i nie wpuścił prokurenta, dlatego że groziła mu utrata posady i że szef zacząłby później znów nękać rodziców dawnymi roszczeniami?

To przecież były na razie całkiem zbyteczne troski. Gregor był jeszcze tutaj i ani przez myśl mu nie przeszło, żeby opuścić rodzinę. W tej chwili leżał sobie tu na dywanie i nikt, kto by znał jego stan, nie mógł od niego poważnie żądać, by wpuścił prokurenta. Ale z powodu tej drobnej nieuprzejmości, dla której później bez trudu znajdzie się odpowiednią wymówkę, nie można by było przecież Gregora natychmiast usunąć z posady. I Gregorowi zdawało się, że znacznie rozsądniej byłoby pozostawić go teraz w spokoju, zamiast przeszkadzać mu płaczem i namowami. Ale ta właśnie niepewność dręczyła tamtych i usprawiedliwiała ich postępowanie.

- Panie Samsa! - zawołał teraz prokurent podniesionym głosem. - Co się stało? Barykaduje się pan w swoim pokoju, odpowiada pan tylko „tak” i „nie”, sprawia pan ciężkie niepotrzebne zmartwienie swoim rodzicom i w niesłychany wprost sposób zaniedbuje pan - o tym wspominam tylko mimochodem - swoje handlowe obowiązki. Mówię tutaj w imieniu pańskich rodziców i pańskiego szefa i jak najpoważniej proszę pana o natychmiastowe, wyraźne wyjaśnienie. Dziwię się, dziwię się. Sądziłem, że znam pana jako spokojnego, rozsądnego człowieka, a tu nagle wygląda na to, jakby chciał pan zacząć popisywać się dziwacznymi kaprysami. Szef próbował mi wprawdzie dziś rano wyjaśnić pańskie zaniedbanie - mówił o powierzonym panu od niedawna inkasie - ale ja, doprawdy, dałem niemal moje słowo honoru, że to wyjaśnienie nie może być trafne. Teraz jednak widzę ten pański niepojęty upór i całkiem tracę jakąkolwiek ochotę, aby wstawiać się za panem choćby w najmniejszym stopniu. A pańska posada wcale nie jest najmocniejsza. Początkowo miałem zamiar powiedzieć panu to wszystko w cztery oczy, ale skoro pozwala mi pan tutaj bezużytecznie tracić czas, nie wiem, dlaczego pańscy szanowni rodzice nie mieliby się także o tym dowiedzieć. Wyniki pańskiej pracy były też ostatnio bardzo niezadowolające; pora roku nie jest wprawdzie odpowiednia do robienia nadzwyczajnych interesów, przyznajemy to, ale takiej pory roku, żeby nie robić żadnych interesów, w ogóle nie ma, panie Samsa, i być nie może.

- Ależ, panie prokurencie! - zawołał Gregor z przejęciem i w podnieceniu zapomniał o wszystkim innym. - W tej chwili, natychmiast otwieram. Lekka niedyspozycja, zawrót głowy nie pozwolił mi wstać. Teraz jeszcze leżę w łóżku. Ale już znowu czuję się całkiem dobrze. Właśnie wstaję z łóżka. Tylko maleńką chwilę cierpliwości! To jeszcze nie idzie tak łatwo, jak myślałem. Ale czuję się już dobrze. Że też to może tak spać na człowieka! Wczoraj wieczorem czułem się jeszcze zupełnie dobrze, rodzice to wiedzą, albo raczej już wczoraj wieczorem miałem lekki przedsmak tego. Można było to po mnie zobaczyć. Jak mogłem nie zgłosić tego w firmie! Ale zawsze się myśli, że przetrwa się chorobę bez zostawiania w domu. Panie prokurencie! Proszę oszczędzać moich rodziców! Wszystkie te zarzuty, które mi pan teraz robi, nie mają żadnych podstaw. Nie powiedziano mi też o tym ani słowa. Pan pewnie nie czytał ostatnich zamówień, jakie posłałem. Zresztą pojedę jeszcze pociągiem o ósmej, tych parę godzin

odpoczynku mnie wzmocniło. Proszę się już tylko nie fatygować, panie prokurencie; zaraz sam będę w przedsiębiorstwie, zechce pan być tak dobrym i wytłumaczyć mnie przed panem szefem!

I podczas gdy Gregor pośpiesznie wyrzucił z siebie to wszystko i ledwie wiedział, co mówi, z łatwością, zapewne wskutek ćwiczeń dokonanych jeszcze w łóżku, zbliżył się nieco do komody i teraz próbował się na nią wspiąć. Rzeczywiście chciał otworzyć drzwi, rzeczywiście chciał się pokazać i rozmawiać z prokurentem; bardzo pragnął przekonać się, co powiedzą na jego widok ci, którzy teraz bardzo go chcą widzieć. Gdyby się przestraszyli, Gregor nie ponosiłby już żadnej odpowiedzialności i miałby spokój.

Gdyby jednak wszystko przyjęli spokojnie, wówczas i on nie miałby powodu do niepokoju i mógłby, gdyby się pośpieszył, rzeczywiście o ósmej być na dworcu. Najpierw ześliznął się kilka razy z gładkiej komody, lecz w końcu sprężył się do ostatniego skoku i stanął na niej wyprostowany; nie zważał już nawet na bóle w podbrzuszu, choć dokuczaly mu bardzo. Teraz pozwolił sobie opaść na tylne oparcie pobliskiego krzesła; trzymał się mocno nóżkami jego poręczy. Wśród tego odzyskał też panowanie nad sobą i znieruchomiał, gdyż dał się teraz słyszeć głos prokurenta.

- Czy państwo zrozumieli choć jedno słowo? - pytał prokurent rodziców. - Czy on nie robi z nas jednak głupców?

- Na miłość boską! - wołała matka już we łzach. - - On pewnie jest ciężko chory, a my go męczymy. Greto! Greto! - krzyknęła.

- Mamo? - zawołała siostra z drugiej strony. Porozumiewały się poprzez pokój Gregora.

- Musisz natychmiast iść po lekarza. Gregor jest chory. Szybko po lekarza. Czy słyszałaś przed chwilą głos Gregora?

- To był głos zwierzęcy - powiedział prokurent dziwnie cicho w przeciwieństwie do krzyku matki.

- Anno! Anno! - wołał ojciec poprzez przedpokój do kuchni i klaskał w dłonie. - Natychmiast sprowadzić ślusarza!

I obydwie dziewczyny, szeleszcząc sukniemi, biegły już przez przedpokój - jak też siostra zdołała się tak szybko ubrać? - i z trzaskiem otwierały drzwi od mieszkania. Nie było wcale słyhać, żeby je zatrzasnęły, widocznie zostawiły je otwarte, jak to zwykle bywa w mieszkaniach, w których zdarzyło się wielkie nieszczęście.

Ale Gregor znacznie się uspokoił. Nie rozumiano już wprawdzie jego słów, mimo że jemu zdawały się one wyraźne wyraźniejsze niż przedtem, zapewne wskutek przyzwyczajenia się ucha.

Ale bądź co bądź uwierzono już, że jest z nim coś nie w porządku, i przygotowywano się do niesienia mu pomocy.

Ufność i pewność, z jaką wydano pierwsze zarządzenia, dobrze na niego wpłynęły. Czuł się znowu wciągniętym w krąg ludzki i od obydwu: lekarza i ślusarza, właściwie dokładnie ich nie odróżniając, spodziewał się wspaniałych i zaskakujących rzeczy. Aby do zbliżających się decydujących rozmów mieć możliwie najwyraźniejszy głos, odkaslnął nieco, starając się zrobić to możliwie cicho, gdyż niewykluczone, że także ten odgłos brzmiał inaczej niż ludzkie kasznięcie, czego on sam nie potrafił już stwierdzić. Tymczasem w pokoju obok zrobiło się całkiem cicho. Może rodzice siedzieli z prokurentem przy stole i szepotali, a może wszyscy nasłuchiwali oparci o drzwi.

Gregor z wolna przesunął się z krzesłem w stronę drzwi, a potem opuścił krzesło i rzucił się ku drzwiom, zatrzymał się przy nich wyprostowany - końce jego nóżek były nieco lepkie - i odpoczywał chwilę po wysiłku. Następnie próbował ustami przekręcić klucz w zamku. Niestety okazało się, że nie posiada prawdziwych zębów - czymże więc miał uchwycić klucz? Ale za to szczęki były widocznie silne; z ich też pomocą rzeczywiście wprawił klucz w ruch, nie zważając na to, że na pewno wyrządza sobie jakąś krzywdę, gdyż z ust wylała mu się brunatna ciecz, spływała po kluczu i kapiała na podłogę.

- Proszę posłuchać - rzekł prokurent w sąsiednim pokoju - on przekręca klucz.

Była to dla Gregora wielka zachęta, lecz wszyscy, także ojciec i matka, powinni by nań wołać:

„Żywo, Gregor - powinni by wołać - tylko tak dalej, z całej siły!” I wyobrażając sobie, że wszyscy z napięciem śledzą jego wysiłki, z całą mocą, na jaką mógł się zdobyć, obłędnie wgryzł się w klucz. W miarę obrotu klucza kręcił się wokół zamka; trzymał się teraz tylko ustami w pozycji pionowej, stosownie do potrzeby uwieszał się klucza albo też cisnął go w dół całym ciężarem swego tułowia.

Wreszcie dźwięczniejszy odgłos odskakującego zamka sprawił, że Gregor jakby się ocknął.

Odetchnął i powiedział sobie: „A więc obyłem się bez ślusarza” i złożył głowę na klamce, aby zupełnie otworzyć drzwi.

Ponieważ musiał otwierać je w ten sposób, drzwi były właściwie otwarte już dość szeroko, a on sam jeszcze był niewidoczny. Musiał dopiero z wolna okręcić się wokół skrzydła drzwi, i to bardzo ostrożnie, jeśli przy samym wejściu do pokoju nie chciał niezgrabnie upaść na grzbiet. Wciąż jeszcze zajęty był

tym trudnym obrotem i nie miał czasu, by zwracać uwagę na coś innego, gdy usłyszał głośnie „Och!” prokurenta i zabrzmiało to jak szum wiatru. A teraz także zobaczył go, jak stojąc tuż przy drzwiach przyciskał dłoń do otwartych ust i z wolna się cofał, jak gdyby równomiernie napierała nań niewidzialna siła. Matka - pomimo obecności prokurenta stała tu z rozpuszczonymi jeszcze po nocy wysoko nastroszonymi włosami - załamała ręce i najpierw spojrzała na ojca, potem podeszła dwa kroki w stronę Gregora i upadła wśród swych szeroko rozpostartych sukien, z głową bezradnie opuszczoną na piersi. Ojciec zacisnął pięści wrogim gestem, jak gdyby chciał wepchnąć Gregora z powrotem do jego pokoju, potem niepewnie rozejrzał się po mieszkaniu, wreszcie osłonił oczy rękami i zapłakał, aż łkanie wstrząsało jego potężną piersią.

Gregor nie wszedł wcale do środka pokoju, lecz oparł się od wewnątrz o nieruchome skrzydło drzwi, tak że widoczny był tylko do połowy jego tułów, a ponad nim pochyłona na bok głowa, którą przechylił ku tamtym. Tymczasem zrobiło się znacznie jaśniej. Po drugiej stronie ulicy wyraźnie widać było fragment przeciwnego, ciągnącego się bez końca, szaroczarnego domu - był to szpital - z jego regularnymi, ostro odcinającymi się od fasady oknami. Deszcz padał jeszcze, lecz tylko dużymi, widocznymi z osobna i jakby też z osobna spadającymi na ziemię kroplami. Na stole stała aż zbyt wielka zastawa ze śniadaniem, bo śniadanie było dla ojca najważniejszym posiłkiem dnia i przeciągał je godzinami przy lekturze rozmaitych gazet. Na przeciwnej ścianie na wprost wisiała fotografia Gregora z czasów jego służby wojskowej, przedstawiająca go jako podporucznika - z ręką na szpadzie, beztrudno uśmiechnięty budził respekt swoją postawą i uniformem. Drzwi od przedpokoju były otwarte, a że otwarte były także drzwi do mieszkania, widać nawet było klatkę schodową i początek schodów wiodących w dół.

- A więc - mówił Gregor i zdawał sobie sprawę z tego, że tylko on jeden zachował spokój - zaraz się ubiorę, spakuję moją kolekcję i pojedę. Czy pozwolicie, czy pozwolicie mi jechać? A więc widzi pan, panie prokurencie, nie jestem uparty i pracuję chętnie; podróże są uciążliwe, ale ja nie mógłbym żyć bez podróży. Ależ dokąd pan idzie, panie prokurencie? Do firmy? Tak? I powie pan o wszystkim zgodnie z prawdą? Można być chwilowo niezdolnym do pracy, lecz to jest w sam raz moment, aby przypomnieć sobie o tym, czego ktoś dawniej dokonał, i uświadomić sobie, że później, po usunięciu trudności, będzie pracował tym pilniej i z tym większą uwagą. Ja przecież jestem tak bardzo oddany panu szefowi, pan wie o tym doskonale. A ponadto opiekuję się rodzicami i siostrą. Jestem w kłopotach, ale się z niego wydostanę. Niech mi go pan tylko nie czyni cięższym, niż jest. Niech pan trzyma w firmie moją stronę!

Wiem, że nie lubi się komiwojażera. Myśli się, że on zarabia mnóstwo pieniędzy i przy tym pięknie sobie żyje. Po prostu ludzie nie mają specjalnego powodu, by lepiej rozważyć to uprzedzenie. Ale pan, panie prokurencie, pan ma lepszy wgląd w te sprawy niż reszta personelu, a nawet, mówiąc w zupełnym zaufaniu, lepszy wgląd niż sam pan szef, który na swym stanowisku przedsiębiorcy łatwo może pomylić się w opinii na niekorzyść pracownika. Wie pan też doskonale, że podróżujący agent, który prawie przez cały rok jest poza firmą, tak łatwo może stać się ofiarą plotek, przypadkowych i bezpodstawnych oskarżeń, przed którymi zupełnie nie może się bronić, o których najczęściej nic nie wie, i dopiero później, gdy wyczerpany wraca z podróży, doświadcza w domu na własnej skórze skutków zła, którego przyczyn nie może dociec. Panie prokurencie, niech pan nie odchodzi, niech mi pan powie choć słowo, aby pokazać, że przynajmniej w małej części przyznaje mi pan słusność!

Ale już przy pierwszych słowach Gregora prokurent odwrócił się i wzruszając ramionami patrzył teraz wstecz ku niemu, wydawszy wargi. A kiedy Gregor mówił, ani przez chwilę nie stał spokojnie, lecz nie spuszczając Gregora z oczu wycofywał się ku drzwiom, bardzo powoli, jak gdyby istniał tajemny zakaz opuszczania pokoju. Już był w przedpokoju, a po gwałtownym ruchu, z jakim oderwał wreszcie stopę od progu izby, można by sądzić, że właśnie spalił sobie podeszwę. W przedpokoju zaś wyciągnął prawą rękę daleko w stronę schodów, jak gdyby czekało tam na niego nadziemskie zbawienie.

Gregor pojął, że w żadnym wypadku nie może pozwolić, aby prokurent odszedł w tym nastroju, jeśli nie chce swojej posady w przedsiębiorstwie narazić na największe ryzyko. Rodzice nie rozumieli tego tak dobrze; w ciągu długich lat nabrali przekonania, że Gregor miał tam na całe życie być zapewniony, a poza tym mieli w tej chwili tyle bieżących zmartwień, że zatracili wszelką przezorność. Gregor jednak był przewidujący. Prokurenta trzeba było koniecznie zatrzymać, uspokoić, przekonać i w końcu pozyskać; od tego zależała przecież przyszłość Gregora i jego rodziny!

Gdybyż choć siostra tu była! Ona była mądra, płakała już, gdy Gregor leżał jeszcze spokojnie na grzbiecie. I z pewnością prokurent, ten kobieciarz, dalby się przez nią ugłaskać.

Zamknęłyby drzwi od mieszkania i w przedpokoju wyperswadowałyby mu przestraszczenia. Ale siostry akurat nie było, Gregor musiał działać sam. I nie myśląc o tym, że jego mowa być może, a nawet

prawdopodobnie znów nie zostanie zrozumiana, opuścił skrzydło drzwi, przesunął się przez próg. Chciał podejść do prokurenta, który już na klatce schodowej obydwoma rękami śmiesznie uchwycił poręcz.

Ale natychmiast, szukając oparcia, z lekkim okrzykiem opadł na swoje liczne nóżki. Ledwie się to stało, po raz pierwszy tego ranka doznał fizycznego zadowolenia. Nóżki poczuły się pewnie na podłodze, były mu w zupełności posłuszne, co zauważył ku swojej radości; czekały tylko na to, by go ponieść, dokąd zechce, i wierzył już, że zbliża się koniec wszelkich cierpień. Ale w tym samym momencie, gdy on, kołysząc się od wstrzymywanego ruchu, leżał tuż naprzeciw matki na podłodze, matka, która przecież wyglądała na kompletnie załamana, skoczyła zaraz w górę, szeroko rozłożyła ramiona, rozcapierzyła palce i zawołała: - Ratunku, na miłość boską, ratunku! - Głowę miała pochyloną, jak gdyby chciała lepiej widzieć Gregora, lecz wbrew temu jak szalona odskoczyła do tyłu. Zapomniała, że poza nią stoi zastawiony stół, a gdy znalazła się przy nim, usiadła na nim szybko, jakby w roztargnieniu; i zdawała się całkiem nie zauważać, że obok niej z przewróconego wielkiego dzbanka kawa szerokim strumieniem leje się na dywan.

- Mamo, mamó - cicho powiedział Gregor i spojrzał na nią. Na chwilę prokurent zupełnie wypadł mu z myśli; natomiast na widok płynącej kawy nie mógł powstrzymać się od kilkakrotnego kłapania szczękami. Na to matka znowu krzyknęła, uciekła od stołu i padła w ramiona śpieszącego ku niej ojca.

Gregor jednak nie miał teraz czasu dla rodziców; prokurent był już na schodach i oparłszy podbródek o poręcz po raz ostatni spojrzał poza siebie. Gregor wziął rozpęd, by jak najpewniej go dogonić, ale prokurent musiał coś przeczuć, bo wykonał skok przez wiele stopni i zniknął. - Uf! - krzyknął jeszcze, aż zagrzmiąło w całej klatce schodowej. Niestety, owa ucieczka prokurenta musiała także zupełnie zdezorientować ojca, który dotychczas był stosunkowo opanowany. Zamiast bowiem samemu pójść za prokurentem lub przynajmniej nie przeszkadzać w pościgu Gregorowi, chwycił w prawą rękę laskę prokurenta, którą ten wraz z kapeluszem i zarzutką zostawił na krześle, w lewą dużą gazetę ze stołu i tupiąc nogami oraz machając laską i gazetą, starał się zapędzić Gregora z powrotem do jego pokoju. Nie pomagała żadna prośba Gregora, żadna prośba nie została zresztą zrozumiana, mógł nie wiedzieć jak pokornie kręcić głową - ojciec tym silniej jeszcze tupał nogami. Po drugiej stronie matka mimo chłodu gwałtownie otworzyła okno i wychylna daleko na zewnątrz, przyciskała dłonie do twarzy. Między ulicą a klatką schodową powstał silny przeciąg, powiewały firanki, na stole zaszeleściły gazety, pojedyncze karty frunęły po podłodze. Ojciec nacierał nieubłaganie i syczał jak dzikus. Gregor nie miał jeszcze jednak doświadczenia w chodzeniu tyłem, szło mu to naprawdę bardzo powoli. Gdybyż Gregor mógł się odwrócić, znalazłby się zaraz w swoim pokoju, ale obawiał się znecierpliwic ojca długotrwałym obracaniem się, a laska w ojcowskiej ręce groziła mu przecież każdej chwili śmiertelnym uderzeniem w grzbiet lub w głowę. W końcu nie pozostało jednak Gregorowi nic innego, gdyż zauważył z przerażeniem, że idąc tyłem nie potrafi zachować kierunku; zaczął więc, zerkając nieustannie i z lękiem w bok ku ojcu, obracać się jak tylko mógł najszybciej, w rzeczywistości jednak bardzo powoli, do tyłu.

Możliwe, że ojciec widział jego dobrą wolę, gdyż nie przeszkadzał mu w tym, a nawet z daleka, końcem laski tym obrotem kierował. Gdybyż tylko nie syczał tak nieznośnie! Gregor całkiem tracił od tego głowę. Już prawie zupełnie się odwrócił, gdy wciąż słuchając tego syku pomylił się i znów cofnął się nieco z powrotem. Gdy jednak w końcu szczęśliwie umieścił głowę naprzeciw uchylonych drzwi, okazało się, że jego tułów jest zbyt szeroki, by bez kłopotu się przez nie precisnąć.

Ojcu w jego obecnym nastroju naturalnie ani się nie śniło, żeby otworzyć nieco drugie skrzydło drzwi i stworzyć Gregorowi odpowiednie przejście. Miał tylko tę jedną natrętną myśl, by Gregor jak najszybciej znalazł się w swym pokoju.

Nigdy też nie pozwoliliby na to, aby Gregor odpowiednio się wyprostowawszy przedostał się może jakoś przez drzwi. Raczej popędzał teraz Gregora naprzód z wielkim hałasem, jakby nie istniała żadna przeszkoda. Hałas ten bynajmniej nie brzmiał już dla Gregora jak głos samego tylko ojca, naprawdę nie było żartów i - niech się dzieje, co chce - Gregor wcisnął się między drzwi. Jedna strona jego tułowia uniosła się - leżał pochyło w szparze - bok był boleśnie starty do krwi, na białych drzwiach zostały szpetne plamy. Wkrótce Gregor tkwił mocno w szparze i sam nie mógł dalej się poruszyć: nóżki z jednej strony drząc zawisły w powietrzu, z drugiej były boleśnie przyciśnięte do podłogi. Wtedy ojciec dał mu z tyłu, istotnie teraz zbawienne, mocne pchnięcie, i on, obficie krwawiąc, wpadł daleko w głąb pokoju. Drzwi zostały jeszcze zatrzaśnięte laską, a potem wreszcie nastąpił spokój.

II

Dopiero o zmierzchu Gregor obudził się z ciężkiego snu, podobnego do omdlenia. Niewiele później i tak by się ocknął, gdyż czuł się dostatecznie wypoczęty i wyspany, ale zdawało mu się, że zbudziło go jakby lekkie stąpanie i ostrożne zamknięcie drzwi wiodących do przedpokoju. Blask ulicznych lamp elektrycznych leżał tu i ówdzie blado na suficie i na wyższych częściach mebli, lecz niżej, wokół Gregora, było ciemno. Niezgrabnie macając czułkami, które teraz dopiero uczył się cenić, posunął się z wolna ku drzwiom, by popatrzeć przez szparę, co się tam stało. Cały jego lewy bok wydawał się jedną wielką, nieprzyjemnie drażniącą blizną, a także kulał na dwóch rzędach swych nóg. Podczas porannych wypadków zranił sobie zresztą ciężko jedną nóżkę - był to prawie cud, że tylko jedną - i włókł ją za sobą jak martwą.

Dopiero przy drzwiach zwrócił uwagę na to, co go tu właściwie zwabiło - był to zapach czegoś jadalnego. Stała tam bowiem miska pełna słodkiego mleka, w którym pływały małe skrawki bielutkiego chleba. O mało nie roześmiał się z radości, gdyż był jeszcze bardziej głodny niż rano, i zaraz zanurzył w mleku głowę niemal po oczy. Wkrótce jednak wyciągnął ją rozczarowany, nie tylko dlatego, że jedzenie z powodu obolałego lewego boku sprawiało mu trudność - mógł jeść tylko wtedy, gdy współdziałał w tym, sapiąc, cały jego tułów - lecz ponadto mleko, będące dotychczas jego ulubionym napojem i z pewnością dlatego postawione tutaj przez siostrę, zupełnie mu nie smakowało; prawie ze wstrętem odwrócił się od miski i odpelznął na środek pokoju.

W pokoju rodzinnym, jak to Gregor widział przez szparę w drzwiach, palił się gaz, ale podczas gdy kiedy indziej o tej porze dnia ojciec zwykł matce, a niekiedy i siostrze czytywać głośno popołudniowe gazety, teraz nie dochodził żaden dźwięk. Może to czytanie, o którym siostra zawsze opowiadała mu i pisała, ostatnio w ogóle wyszło ze zwyczaju. Ale i wokół było bardzo cicho, chociaż mieszkanie na pewno nie było puste. „Cóż za spokojne życie wiodła jednak rodzina” - powiedział sobie Gregor i tępo wpatrując się w ciemność, uczuł wielką dumę, że potrafił rodzicom i siostrze zapewnić takie życie w tak pięknym mieszkaniu. Lecz cóż stąd, gdy teraz cały spokój, cały dobrobyt i zadowolenie miały się tak przerażająco skończyć? Żeby nie pogrążyć się w takich myślach, Gregor zaczął się ruszać i pelzał tam i z powrotem po pokoju.

Podczas długiego wieczoru raz jedne boczne drzwi, a raz drugie uchylily się nieco i szybko znowu zamknęły; ktoś pewnie miał ochotę, lecz zanadto bał się wejść. Gregor zatrzymał się więc tuż przy drzwiach do pokoju rodzinnego, zdecydowany zachęcić przeciw jakoś wahającego się do wejścia lub dowiedzieć się przynajmniej, kto to taki. Ale drzwi nie otworzyły się już i Gregor czekał na próżno.

Rano, gdy drzwi były zamknięte, wszyscy chcieli do niego wejść, teraz, gdy on otworzył jedne drzwi, a inne zostały widocznie otwarte w ciągu dnia, nikt nie przychodził, a klucze tkwiły już teraz ze strony przeciwnej.

Dopiero późno w nocy zgasło światło w pokoju rodzinnym, łatwo więc było stwierdzić, że rodzice i siostra czuwali tak długo, gdyż, jak można było dokładnie dosłyszeć, wszyscy troje oddalali się teraz na palcach. A zatem do rana na pewno już nikt nie wejdzie, Gregor miał więc dużo czasu, by spokojnie się zastanowić, jak powinien sobie teraz od nowa ułożyć życie. Jednak wysoki, pusty pokój, w którym uwięziony przywarł na płask na podłodze, przerażał go. Nie wiedział, z jakiej przyczyny, był to przecież jego własny, od pięciu lat zamieszkały przezeń pokój. Na pół świadomie obrócił się i nie bez lekkiego wstydu pośpieszył ukryć się pod kanapą, gdzie, mimo że czuł ucisk na grzbiecie i nie mógł podnieść głowy, poczuł się zaraz bardzo wygodnie i żałował tylko, że tułów ma zbyt szeroki, by mógł się cały pod kanapą zmieścić.

Pozostał tam przez całą noc. Spędził ją częścią w półśnie, z którego co chwila wyrывał go głód, częścią zaś wśród trosk i niewyraźnych nadziei, co jednak wszystko prowadziło do wniosku, że tymczasem musi zachowywać się spokojnie i cierpliwością oraz największymi względami złagodzić rodzinie przykrości, które mimo woli wyrządził jej swoim obecnym stanem.

Już wcześniej rano, prawie jeszcze w nocy, miał Gregor sposobność doświadczyć siły swych dopiero co powziętych postanowień, gdyż siostra, niemal zupełnie ubrana, otworzyła drzwi od przedpokoju i w napięciu zajrzała do środka. Nie znalazła go od razu, ale gdy ujrzała go pod kanapą - na Boga, musiał przecież gdzieś być, nie mógł przecież wyfrunąć - przeraziła się tak bardzo, że nie mogąc się opanować, znów zatrzasnęła drzwi od zewnątrz.

Ale jakby żalując swego postępowania, natychmiast otworzyła drzwi powtórnie i weszła na palcach, tak jak wchodzi się do kogoś ciężko chorego lub zgoła do obcego.

Gregor wysunął głowę aż prawie do krawędzi kanapy i obserwował siostrę. Czy też zauważy, że zostawił mleko, i to bynajmniej nie z braku apetytu, i czy przyniesie coś innego do jedzenia, co by mu bardziej odpowiadało? Jeśliby tego nie uczyniła sama, wolałby raczej umrzeć z głodu, niż zwrócić jej na to uwagę, mimo że właściwie coś potężnego parło go, aby wybiec spod kanapy, rzucić się siostrze do stóp i poprosić ją o cokolwiek dobrego do jedzenia. Lecz siostra natychmiast ze zdziwieniem zauważyła pełną jeszcze miskę i tylko odrobinę mleka rozchlaną wokół, wzięła zaraz naczynie, co prawda nie gołymi rękami, lecz przez szmatę, i wyniosła. Gregor był ogromnie ciekaw, co przyniesie w zamian, i snuł o tym najrozmaitsze myśli.

Lecz nigdy by nie zgadł, co siostra naprawdę zrobiła w swej dobroci. Aby wypróbować jego smak, przyniosła mu na starej gazecie wszystko do wyboru. Była tu stara, na pół zgniła jarzyna, kości z kolacji w zastygłym białym sosie, kilka rodzynków i migdałów, ser, który Gregor dwa dni temu uznał za niejadalny, zeschnięty chleb, chleb posmarowany masłem oraz chleb posmarowany masłem i posolony.

Przy tym wszystkim postawiła, już prawdopodobnie na stałe, dla Gregora przeznaczoną miskę, do której nalala wody. A ponieważ wiedziała, że Gregor nie będzie przy niej jadł, przez delikatność oddaliła się jak najszybciej i przekręciła nawet klucz w zamku, żeby tylko Gregor zrozumiał, że może zachowywać się tak swobodnie, jak zechce. Nóżki Gregora furczały, gdy szedł teraz do jedzenia. Zresztą jego rany musiały się też już zupełnie zagoić, nic mu już nie przeszkadzało, dziwił się temu i myślał o tym, jak przed miesiącem z górą skaleczył się całkiem lekko nożem w palec i jak ta rana jeszcze przedwczoraj dosyć mu dokuczala. „Czyżbym teraz był mniej wrażliwy?” - myślał i ssał już chciwie ser, który przed wszystkimi innymi potrawami pociągnął go natychmiast i nieodparcie. Szybko i ze łzami ukontentowania w oczach pochłonął jedno po drugim: ser, jarzynę i sos; natomiast świeże potrawy mu nie smakowały, nie mógł nawet znieść ich zapachu i to, co chciał zjeść, odciągnął nieco na bok. Od dawna był już ze wszystkim gotów i leżał tylko leniwie na tym samym miejscu, gdy siostra przekręciła z wolna klucz na znak, że powinien się wycofać. Natychmiast go to przestraszyło, mimo że już prawie drzemał, i znów pośpieszył pod kanapę. Ale pozostawanie pod kanapą choćby przez ten krótki czas, gdy siostra była w pokoju, wiele go kosztowało, gdyż od obfitego jedzenia ciało jego trochę się zaokrągliło i ściśnięty tam ledwie mógł złapać oddech. Wśród małych ataków duszności patrzył nieco wybaluszonymi oczami, jak siostra, nie mając o niczym pojęcia, zgarnęła miotłą nie tylko resztki, lecz także wcale przez Gregora nietknięte jedzenie, jak gdyby i jego nie można już było zużyć, pośpiesznie wysypała wszystko do kubła, który nakryła drewnianą pokrywą, po czym wszystko wyniosła. Ledwie się odwróciła, Gregor wypełznął już spod kanapy, przeciągnął się i wzdął.

W ten sposób codziennie otrzymywał teraz Gregor swój posiłek; najpierw rano, gdy rodzice i służąca jeszcze spali, drugi raz po ogólnym obiedzie, bo i wtedy rodzice spali jeszcze chwilę, a służącą siostra wysyłała po jakikolwiek sprawunek. Zapewne i oni nie chcieli, żeby Gregor głodował, lecz może nie byli w stanie dowiadywać się o jego jedzeniu, jak tylko ze słyszenia, a może siostra pragnęła oszczędzić im nawet drobnej troski, gdyż w samej rzeczy dosyć już cierpieli.

Jakich użyto wymówek, aby owego pierwszego przedpołudnia odprawić z domu, mimo wezwania, lekarza i ślusarza, o tym Gregor zupełnie nie mógł się dowiedzieć. Ponieważ jego nie rozumiano, nikt - nawet siostra - nie pomyślał o tym, że on może rozumieć innych; musiał więc, gdy siostra była w jego pokoju, zadowolić się tym, że słyszał od czasu do czasu, jak wzdychała i wzywała świętych. Później dopiero, gdy się do wszystkiego trochę przyzwyczaiła - o zupełnym przyzwyczajeniu się nigdy oczywiście nie mogło być mowy - pochwycił Gregor niekiedy uwagę, która była życzliwie pomyślana lub można ją było tak zrozumieć. - Ależ mu dzisiaj smakowało - mówiła, gdy Gregor dzielnie sprzątnął jedzenie, podczas gdy w przeciwnym razie, co z wolna zaczęło powtarzać się coraz częściej, mawiała niemal ze smutkiem:

- Dziś znowu wszystko zostawił.

Chociaż jednak Gregor nie mógł bezpośrednio niczego się dowiedzieć, podsłuchiwał czasem coś niecoś z sąsiednich pokoi i skoro tylko usłyszał głosy, zaraz biegł do odpowiednich drzwi i przyciskał się do nich całym ciałem. Z początku zwłaszcza nie było rozmowy, która by nie dotyczyła go w jakiś sposób, choćby ukryty. Przez dwa dni przy wszystkich posiłkach słychać było narady, jak należy się teraz zachować; lecz także pomiędzy posiłkami mówiło się na ten sam temat, gdyż zawsze co najmniej dwoje członków rodziny było w domu, nikt bowiem nie chciał pewnie zostać w domu sam i w żadnym wypadku nie można było przecież całkiem opuścić mieszkania. Także służąca zaraz w pierwszym dniu - nie było całkiem jasne, co i ile wiedziała ona o tym, co zaszło - na kolanach prosiła matkę o natychmiastowe zwolnienie, a gdy w kwadrans później żegnała się z domem, ze łzami dziękowała za zwolnienie jak za największe okazane jej tu dobrodziejstwo i choć tego od niej nie żądano, złożyła straszliwą przysięgę, że nikomu nie piśnie ani słówka.

Teraz więc siostra razem z matką musiały także same gotować; co prawda, nie sprawiało to wiele kłopotu, gdyż nikt prawie nic nie jadł. Gregor wciąż słyszał, jak jedno na próżno namawiało drugie do jedzenia, a nigdy nie było innej odpowiedzi, jak: „dziękuję, mam już dosyć” lub coś podobnego. Nic się też pewnie nie piło. Siostra często pytała ojca, czy nie chciałby piwa, i serdecznie ofiarowywała się, że sama je przyniesie, a gdy ojciec milczał, chcąc pozbawić go wszelkich skrupułów mówiła, że mogłaby także posłać po nie dozorczynię, lecz ojciec mówił w końcu wielkie: „nie” - i więcej o tym nie mówiono.

Już w ciągu pierwszego dnia ojciec przedstawił zarówno matce, jak i siostrze całą sytuację majątkową i widoki na przyszłość. Co chwila wstawał od stołu i przynosił jakiś dowód lub jakieś zapiski z małej kasy wertheimowskiej, którą przed pięciu laty uratował ze swego zrujnowanego przedsiębiorstwa. Słysząc było, jak odmykał, a po wyjęciu tego, czego szukał, znowu zamykał skomplikowany zamek. Ojcowskie wyjaśnienia były po części pierwszą pocieszającą rzeczą, jaką Gregor zdołał usłyszeć od czasu swego uwięzienia. Gregor mniemał, że ojcu z owego przedsiębiorstwa nic nie pozostało, przynajmniej ojciec nigdy nie mówił inaczej, a zresztą Gregor go nigdy o to nie pytał.

Miał wówczas tylko tę jedną troskę, by uczynić wszystko, żeby rodzina jak najszybciej zapomniała o nieszczęśliwych interesach, które wszystkich ich pogrążyły w całkowicie beznadziejnej sytuacji. Z niezwykłym wprost zapałem zabrał się więc wówczas do pracy i prawie z dnia na dzień z dobrego subiekta stał się podróżującym agentem, który naturalnie posiadał zupełnie inne możliwości zarabiania pieniędzy, a wyniki jego pracy natychmiast - w formie prowizji - zmieniały się w gotówkę, którą można było położyć w domu na stole przed zdumioną i uszczęśliwioną rodziną. Były to piękne czasy i nigdy potem nie powtórzyły się, przynajmniej w takiej świetności, mimo że Gregor zarabiał później tyle pieniędzy, że był w stanie pokrywać i naprawę pokrywał wydatki całej rodziny. Po prostu przyzwyczaili się do tego, tak rodzina, jak i Gregor. Z wdzięcznością brano od niego pieniądze, on ich chętnie dostarczał, ale nie było już w tym owego szczególnego ciepła. Tylko siostra wciąż jeszcze pozostała Gregorowi bliska, a że w przeciwieństwie do niego bardzo kochała muzykę i umiała wzruszająco grać na skrzypcach, planował w tajemnicy, aby w przyszłym roku posłać ją do konserwatorium, bez względu na wielkie koszty, które to musi za sobą pociągnąć i które już w inny sposób musiałyby się pokryć. Podczas krótkich pobytów Gregora w mieście, w rozmowach z siostrą często wspomniano o konserwatorium, ale zawsze tylko jak o pięknym śnie, o którego urzeczywistnieniu nie było co myśleć. Rodzice niechętnie nawet słuchali tych niewinnych wzmianek; Gregor jednak myślał o tym bardzo stanowczo i zamierzał to uroczyście oświadczyć w wilię Bożego Narodzenia.

Takie, w jego obecnym stanie całkiem bezużyteczne, myśli chodziły mu po głowie, gdy wyprostowany stał tam przyklejony do drzwi i nasłuchiwał. Czasem ogólne zmęczenie nie pozwalało mu słuchać już dłużej i nieuważnie uderzał głową o drzwi, ale natychmiast znów ją podnosił do góry, gdyż nawet ów lekki stuk, jaki to wywoływało, słysząc było obok i wszyscy milkli.

- Co on tam znów wyprawia - mówił ojciec po chwili, widocznie zwrócony ku drzwiom, a potem dopiero z trudem nawiązywano przerwana rozmowę.

Gregor dowiedział się więc dokładnie - gdyż ojciec zwykł się powtarzać w swych objaśnieniach, po części dlatego, że sam od dawna już nie zajmował się tymi sprawami, po części zaś, bo matka nie wszystko rozumiała za pierwszym razem - że mimo całego nieszczęścia pozostał jednak z dawnych czasów mały majątek, który powiększyły nieco nienaruszone przez cały czas procenty. Poza tym pieniądze, które Gregor co miesiąc przynosił do domu - dla siebie zatrzymywał tylko parę guldenów - nie były w całości wydawane i zebrał się z nich niewielki kapitał. Gregor z zapałem kiwał głową za swymi drzwiami, ucieszony tą nieoczekiwaną przezornością i oszczędnością. Właściwie to mógł być z tych nadwyżek spłacić dalszą część długu ojcowskiego u szefa, i ów dzień, w którym mógłby rozstać się ze swoją posadą, bardzo by się przybliżył, lecz teraz niewątpliwie lepiej było tak, jak to urządził ojciec.

Pieniądze te jednak wcale a wcale nie wystarczały, aby rodzina mogła żyć z procentów, być może, wystarczały tylko na utrzymanie rodziny przez rok, najwyżej dwa, lecz nie dłużej. Była to więc tylko suma, z której właściwie nie powinno się czerpać i którą trzeba było odłożyć na wszelki wypadek; pieniądze na życie trzeba jednak było zarobić. Tak, lecz ojciec był wprawdzie zdrowym, ale starym człowiekiem, już od pięciu lat nie pracował i w żadnym razie nie mógł zbyt sobie ufać; w ciągu tych pięciu lat, które były pierwszymi wakacjami w jego pełnym trudu, lecz pozbawionym sukcesów życiu, bardzo obrósł tłuszczem i stał się wskutek tego dość ociężały. A może miała teraz zarabiać cierpiąca na astmę stara matka, którą trudziło już samo chodzenie po mieszkaniu i która z powodu duszności co drugi dzień spędzała na sofie przy otwartym oknie? I czy mogła zarabiać siostra, która przy swoich siedemnastu latach była jeszcze dzieckiem, a dotychczasowy godny pozazdrosczenia jej tryb życia polegał na tym, aby ładnie się ubrać, długo spać, pomagać w gospodarstwie, mieć parę skromnych rozrywek, a przede wszystkim grać na skrzypcach? Gdy zaczynało się mówić o tej konieczności

zarobkowania, Gregor zawsze odchodził od drzwi i rzucał się na stojącą obok chłodną, skórzaną sofę, bo było mu gorąco od wstydu i smutku.

Często leżał tam całymi nocami, nie spał ani chwili i tylko godzinami drapał skórę. Albo nie szczydził wielkiego wysiłku, żeby przysunąć krzesło do okna, a potem wspiąć się na parapet i opierając się o krzesło przywrzeć do szyby, zapewne w niejasnej myśli o odprężeniu, jakim dawniej było dla niego patrzenie przez okno. Bo w samej rzeczy z dnia na dzień widział coraz bardziej niewyraźnie nawet niezbyt oddalone przedmioty, nie dostrzegał w ogóle przeciwległego szpitala, którego zbyt częsty widok dawniej przeklinał, i gdyby nie wiedział na pewno, że mieszka przy cichej, lecz typowo miejskiej Charlottenstrasse, mógłby uwierzyć, że ze swego okna patrzy na pustynię, w której szare niebo i szara ziemia łączyły się nierozzerwalnie.

Wystarczyło uważnej siostrze, że dwa razy spostrzegła krzesło stojące przy oknie, i już za każdym razem po sprzątnięciu pokoju stawiała je tam z powrotem, a nawet od tej chwili zostawiała otwarte wewnętrzne skrzydło okna.

Gdyby chociaż Gregor mógł z siostrą porozmawiać i podziękować jej za wszystko, co musi dla niego robić, łatwiej przyszłoby mu znosić jej usługi, ale że było to niemożliwe, cierpiał. Siostra próbowała wprawdzie, jak mogła, zacierać przykre strony całej sprawy, i im więcej mijało czasu, tym lepiej jej się naturalnie udawało, lecz i Gregor z czasem przejrzał wszystko o wiele dokładniej.

Już samo jej wejście było dla niego czymś okropnym. Za ledwie weszła, nie tracąc czasu na zamknięcie drzwi, choć skądinąd bardzo zważała na to, by każdemu oszczędzić widoku pokoju Gregora, śpieszyła prosto do okna, otwierała je szarpnięciem porywczych rąk, jakby się dusiła, i choćby było bardzo zimno, zostawała chwilę przy oknie, oddychając głęboko. Dwa razy dziennie wzbudzała w Gregorze przerażenie tym ruchem i hałasem; przez cały czas drżał pod kanapą, a wiedział przecież bardzo dobrze, że na pewno chętnie by mu go oszczędziła, gdyby tylko można było wytrzymać przy zamkniętym oknie w pokoju, w którym znajdował się Gregor.

Pewnego razu, a minął już chyba miesiąc od przemiany Gregora, nie było więc szczególnego powodu, by siostra na widok Gregora wpadła w osłupienie, przyszła nieco wcześniej niż zwykle i zastała go jeszcze, jak nieruchomo i jak gdyby wystawiony na postrach, patrzył przez okno.

Nie byłoby dla Gregora rzeczą nieoczekiwaną, gdyby nie weszła do pokoju, gdyż będąc w tym miejscu przeszkadzał jej w natychmiastowym otwarciu okna. Ale ona nie tylko nie weszła, lecz szybko się cofnęła i zamknęła drzwi. Ktoś obcy mógłby po prostu pomyśleć, że Gregor zaczął się na nią i chciał ją ugryźć. Naturalnie, Gregor natychmiast ukrył się pod kanapą, lecz musiał czekać aż do południa, zanim siostra wróciła, a wydawała się znacznie bardziej niespokojna niż zwykle. Po tym poznał, że jego widok wciąż jeszcze był dla niej nie do zniesienia i również na przyszłość pozostanie nieznośny oraz że ona sama musiała się pewnie bardzo opanowywać, żeby nie uciec na widok nawet tej małej części jego tułowia, która sterczała spod kanapy. Aby oszczędzić jej także i tego widoku, pewnego dnia - praca ta zabrała mu cztery godziny - niósł na kanapę prześcieradło i ułożył je w taki sposób, że był teraz całkiem zakryty i siostra nie mogła go widzieć, nawet jeśli się schyliła. Gdyby w jej mniemaniu to prześcieradło nie było potrzebne, mogłaby je przecież usunąć, gdyż było chyba jasne, że dla Gregora nie należało do przyjemności to zupełne odseparowanie się. Ona jednak zostawiła prześcieradło, tak jak było, a Gregorowi zdawało się nawet, że pochwycił jej wdzięczne spojrzenie, gdy raz ostrożnie uniosł prześcieradło głową, by sprawdzić, jak siostra przyjęła to nowe urządzenie.

Przez pierwsze czternaście dni rodzice nie mogli się przemóc, by wejść do niego, i słyszał często, jak wyrażali pełne uznanie dla obecnej pracy siostry, podczas gdy dotychczas często się na siostrę gniewali, bo wydawała się dziewczyną, z której niewiele jest pożytku. Lecz teraz często czekali oboje, ojciec i matka, przed pokojem Gregora, gdy siostra tam sprzątała, a ledwie wyszła, musiała bardzo dokładnie opowiadać, jak w pokoju wygląda, co Gregor zjadł, jak się tym razem zachowywał i czy daje się może zauważyć mała poprawa. Matka chciała zresztą już wkrótce odwiedzić Gregora, lecz ojciec i siostra powstrzymywali ją początkowo argumentami odwołującymi się do rozsądku, których Gregor bardzo uważnie słuchał i w zupełności uznawał je za słuszne. Później jednak trzeba ją było powstrzymywać gwałtem, a gdy wołała: - Puście mnie do Gregora, przecież to mój nieszczęśliwy syn!

Czyż nie pojmujecie, że muszę iść do niego? - Gregor myślał, że może i dobrze by było, gdyby matka przychodziła, naturalnie nie co dzień, lecz może raz w tygodniu. Znała się przecież na wszystkim znacznie lepiej od siostry, która mimo całej swej odwagi była tylko dzieckiem i ostatecznie może tylko z dziecięcej lekkomyślności wzięła na siebie tak ciężkie zadanie.

Wkrótce spełniło się życzenie Gregora, aby zobaczyć matkę. W ciągu dnia Gregor nie chciał już ze względu na rodziców pokazywać się w oknie, lecz po kilku metrach kwadratowych podłogi nie mógł też zbyt wiele pelzać, spokojne leżenie źle znosił nawet w nocy, jedzenie nie sprawiało mu już wkrótce

najmniejszej przyjemności, przyzwyczał się więc dla rozrywki pelzać we wszystkich kierunkach po ścianach i suficie, Chętnie zwłaszcza wisiał na suficie; było to coś zupełnie innego niż leżenie na podłodze; oddychało się swobodniej, tułów kołysał się z lekka, a wśród szczęśliwej niemal zabawy, jaką Gregor znajdował tam w górze, mogło się zdarzyć, iż ku własnemu zaskoczeniu odrywał się i padał plackiem na podłogę. Ale teraz naturalnie o wiele lepiej panował już nad swym ciałem niż dawniej i nawet przy tak poważnym upadku nie wyrządził sobie krzywdy. Siostra natychmiast zauważyła nową zabawę, jaką Gregor sobie wynalazł - pelzając zostawiał tu i ówdzie ślady swych lepkich nóżek - i wbiła sobie w głowę, by umożliwić Gregorowi pelzanie po jak największej przestrzeni, a więc usunąć meble, które w tym przeszkadzały, przede wszystkim komodę i biurko, Sama jednak nie była w stanie tego zrobić; ojca nie miała odwagi prosić o pomoc, służąca z pewnością by jej nie pomogła, gdyż ta mniej więcej szesnastoletnia dziewczyna trwała wprawdzie na posterunku po oddaleniu dawnej kucharki, ale wyprosiła sobie zgodę na to, aby trzymać kuchnię stale zamkniętą, a otwierała ją tylko na specjalne wezwanie. Nie pozostało więc siostrze nic innego, jak pewnego razu pod nieobecność ojca iść po matkę,

Matka nadeszła z okrzykami radości pełnej podniecenia, lecz pod drzwiami pokoju Gregora umilkła.

Siostra oczywiście sprawdziła najpierw, czy w pokoju wszystko jest w porządku; dopiero potem pozwoliła matce wejść. Gregor w największym pośpiechu bardziej jeszcze naciągnął i sfaldował prześcieradło, wszystko to wyglądało naprawdę tak, jak gdyby tylko przypadkowo rzucono prześcieradło na kanapę, Gregor zaniechał tym razem szpiegowania spod prześcieradła; wyrzekł się tymczasem ujżenia matki, cieszył się tylko, że oto jednak przyszła.

- Chodź, nie widać go - mówiła siostra i widocznie prowadziła matkę za rękę. Gregor słyszał, jak dwie słabe kobiety ruszyły z miejsca ciężką, starą komodę i jak siostra wciąż brała na siebie największą część pracy, nie słuchając ostrzeżeń matki, która obawiała się, że córka się „oberwie”. Trwało to bardzo długo.

Chyba już po kwadransie pracy matka powiedziała, że jednak lepiej będzie może zostawić komodę na miejscu, bo po pierwsze jest za ciężka, nie będą gotowe przed przyjściem ojca i zostawioną na środku pokoju komodą zatarasują Gregorowi wszelkie przejście, po drugie zaś nie można być wcale pewnym, czy Gregorowi spodoba się usunięcie mebli. Jej wydaje się, że przeciwnie, widok pustej ściany wprost rani jej serce, czemu więc Gregor nie miałby odnieść tego wrażenia, skoro od dawna był przecież przyzwyczajony do mebli i mógłby się czuć opuszczony w pustym pokoju.

- I czyż nie jest tak - zakończyła matka całkiem cicho, mówiła w ogóle prawie szeptem, jak gdyby nie chciała, by Gregor, o którym nie wiedziała, gdzie się dokładnie znajduje, usłyszał choćby dźwięk jej głosu, bo o tym, że słów nie rozumie, była przekonana - i czyż nie jest tak, jak gdybyśmy przez usunięcie mebli pokazali, że utraciliśmy wszelką nadzieję na polepszenie i zostawiamy go bezwzględnie samemu sobie? Myślę, że będzie najlepiej, jeśli spróbujemy utrzymać pokój dokładnie w tym stanie, w jakim był poprzednio, ażeby Gregor, gdy znów do nas powróci, znalazł wszystko bez zmian i tym łatwiej mógł zapomnieć o tym, co się dotychczas działo.

Słuchając tych słów matki, pojął Gregor, że niemożność jakiegokolwiek bezpośredniego, ludzkiego odezwania się, w połączeniu z tym jednostajnym życiem pośród rodziny, musiała w ciągu tych dwóch miesięcy zmącić jego umysł. Inaczej bowiem nie umiał sobie wytłumaczyć, że mógł poważnie pragnąć, aby opróżniono jego pokój. Czyż istotnie miał ochotę zmienić ciepły i odziedziczonymi meblami przyjemnie urządzonego pokój w norę, w której co prawda bez przeszkód mógłby pelzać na wszystkie strony, zapominając jednak równocześnie szybko i zupełnie o swej ludzkiej przeszłości? Już był przecież bliski zapomnienia i wstrząsnął nim tylko od dawna nie słyszalny głos matki. Niczego nie powinno się usuwać, wszystko musi pozostać, nie mógł obejść się bez dobrego wpływu mebli na swoje samopoczucie, a jeśli meble przeszkadzały mu w bezmyślnym pelzaniu, nie było to żadną szkodą, lecz wielką korzyścią.

Niestety, siostra była jednak innego zdania, przy omawianiu spraw Gregora przyzwyczała się, zresztą nie zupełnie bez podstaw, występować wobec rodziców jako osoba szczególnie kompetentna; toteż i teraz rada matki była dla siostry dostatecznym powodem, by upierać się przy usunięciu nie tylko komody i biurka, o których sama myślała poprzednio, lecz wszystkich mebli, z wyjątkiem nieodzownej kanapy. Naturalnie nie tylko dziecięca przekora i tak ostatnio nieoczekiwane, a z trudem zdobyta pewność siebie skłaniały ją do tego żądania; rzeczywiście przecież obserwowała, że Gregor potrzebuje do pelzania wiele miejsca, natomiast z mebli - o ile można było spostrzec - nie korzystał zupełnie. Być może działały tu jednak także marzycielskie skłonności dziewcząt w jej wieku, szukające zaspokojenia przy każdej okazji, teraz zaś nęcące Gretę do przedstawienia sytuacji Gregora w sposób bardziej jeszcze przerażający, by potem jeszcze więcej niż dotychczas móc się o niego troszczyć. Gdyż chyba

żaden człowiek oprócz Greta nie odważyłby się nigdy wejść do pomieszczenia, w którym Gregor sam jeden panował nad pustymi ścianami.

Tak więc nie dała się matce odwieść od swej decyzji. Zresztą zdawało się, że w tym pokoju matka czuje się niepewnie i nieswojo. Wkrótce umilkła i w miarę swych sił pomagała siostrze przy usunięciu komody. No, bez komody Gregor od biedy mógł się obejść, ale biurko musiało zostać. I zaledwie panie wraz z komodą, na którą ze stękaniem napierały, opuściły pokój, Gregor wysunął głowę spod kanapy, aby zobaczyć, jak mógłby ostrożnie i możliwie najogłędniej wdać się w tę sprawę. Na nieszczęście właśnie matka wróciła pierwsza, podczas gdy Greta w sąsiednim pokoju obejmowała ramionami komodę i sama próbowała popychać ją w tę i w tamtą stronę, nie mogąc naturalnie poruszyć jej z miejsca. A matka nie była przyzwyczajona do widoku Gregora, mógłby przyprawić ją o chorobę, więc przerażony pomknął, cofając się, aż pod drugi koniec kanapy, ale nie mógł już zapobiec temu, że prześcieradło z przodu nieco się uniosło. To wystarczyło, by zwrócić uwagę matki. Zatrzymała się, przez moment stała spokojnie, a potem wróciła do Greta.

Chociaż Gregor wciąż sobie mówił, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego, przedstawia się tylko kilka mebli, to jednak wkrótce musiał przyznać, że owo chodzenie kobiet tam i z powrotem, ich ciche nawoływania, szuranie mebla po podłodze działa na niego jak wielki, ze wszech stron ogarniający go zamęt. I wciągając głowę, kuląc nóżki, z ciałem przyciśniętym mocno do podłogi, musiał sobie otwarcie powiedzieć, że długo tego wszystkiego nie wytrzyma. One ogolowały jego pokój; zabierały wszystko, co mu było drogie, wyniosły już komodę, w której leżała laubzega i inne narzędzia; teraz wstrząsały silnie już zarytym w podłogę biurkiem, przy którym odrabiał swoje zadania jako student akademii handlowej, gimnazjalista, ba, nawet jeszcze jako uczeń szkoły powszechnej - teraz naprawdę nie miał już czasu, żeby roztrząsać dobre zamiary dwóch kobiet, o których istnieniu zresztą prawie zapomniał, gdyż, wyczerpane, pracowały już w milczeniu i słyszało się tylko ciężkie tupanie ich nóg.

Wyskoczył więc wreszcie - w sąsiednim pokoju kobiety oparły się właśnie o biurko, żeby nieco odpocząć - cztery razy zmieniał kierunek swego biegu, doprawdy nie wiedział, co najpierw powinien ratować, nagle wzrok jego padł na obraz damy przystrojonej w futro, wiszący na pustej już zresztą ścianie.

Szybko podpełznął w górę i przycisnął się do szkła, które go zatrzymało chłodząc przyjemnie jego gorący brzuch. Przynajmniej tego obrazu, który Gregor całkiem zakrywał, nikt z pewnością nie zabierze. Odwrócił głowę ku drzwiom pokoju rodzinnego, by ujrzeć wracające kobiety.

Już wracały po niedługim wypoczynku; Greta objęła matkę ramieniem i prawie ją niosła.

- A więc co teraz weźmiemy? - powiedziała Greta i spojrzała naokoło. Wtedy wzrok jej skrzyżował się ze wzrokiem Gregora na ścianie. Chyba tylko dzięki obecności matki zachowała przytomność umysłu, skłoniła twarz ku matce, by powstrzymać ją od rozglądania się, i powiedziała nierozważnie, z drżeniem:

- Pozwól, może raczej wrócimy jeszcze na chwilę do naszego pokoju?

Zamiar Greta był dla Gregora jasny, chciała zaprowadzić matkę w bezpieczne miejsce, a potem spędzić go ze ściany. No, niech tylko spróbuje! Siedzi na swym obrazie i nie odda go. Raczej skoczyłby Grecie na twarz.

Ale dopiero słowa Greta naprawdę zaniepokoiły matkę, odstąpiła na bok, spostrzegła ogromną brązową plamę na kwiecistej tapecie i zanim właściwie dotarło do jej świadomości, że to, co ujrziała, było Gregorem, zawołała wrzaskliwym; ochryplym głosem: - Ach, Boże, ach, Boże! - i z rozpostartymi ramionami, jakby z gestem rezygnacji, padła na kanapę i nie ruszała się.

- Ty, Gregor! - zawołała siostra z podniesioną pięścią i ostrym spojrzeniem. Od chwili przemiany były to pierwsze słowa, które skierowała bezpośrednio do niego. Pobiegła do sąsiedniego pokoju po jakąkolwiek esencję, którą mogłaby ocucić matkę z omdlenia; Gregor także chciał pomóc - na ratowanie obrazu był jeszcze czas - ale przykleił się mocno do szkła i musiał oderwać się siłą. Pobiegł potem także do sąsiedniego pokoju, jak gdyby mógł dać siostrze jakąś radę, tak jak dawniej, lecz w końcu musiał stać za nią bezczynnie, podczas gdy ona przebierała w rozmaitych flaszeczkach, i jeszcze ją przestraszył, kiedy się odwróciła. Jedna flaszka upadła na podłogę i stłukła się; odłamek zranił Gregora w twarz, oblało go jakieś żrące lekarstwo. Greta, nie zatrzymując się dłużej, porwała teraz tyle flaszeczek, ile tylko mogła utrzymać, i pobiegła z nimi do matki. Nogą zatrzaskała drzwi. Gregor był teraz odcięty od matki, która z jego winy była może bliska śmierci; nie śmiał otworzyć drzwi, nie chciał spłoszyć siostry, która musiała zostać przy matce, nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać. I dręczony troską oraz wyrzutami sumienia zaczął pelzać, pelzał po wszystkim, po ścianach, meblach i suficie, a wreszcie w rozpacz, gdy cały pokój zaczął już jakby kręcić się wokół niego, upadł na środek wielkiego stołu.

Minęła krótka chwila, Gregor leżał osłabiony, wokół panowała cisza, może był to dobry znak. Wtem rozległ się dzwonek. Dziewczyna naturalnie zamknęła się w kuchni, więc Greta musiała pójść otworzyć.

Przyszedł ojciec.

- Co się stało? - to były jego pierwsze słowa; zapewne wygląd Greta powiedział mu wszystko.

Greta odparła stłumionym głosem, widocznie przycisnęła twarz do piersi ojca:

- Matka zemdląła, ale teraz już jej lepiej. Gregor uciekł.

- Spodziewałem się tego - powiedział ojciec. - Zawsze wam to mówiłem, ale wy, kobiety, nie chciałyście słuchać.

Dla Gregora było jasne, że ojciec źle zrozumiał zbyt krótką wiadomość usłyszaną od Greta i sądził, że Gregor dopuścił się jakiegoś gwałtu. Gregor musiał dlatego spróbować teraz ojca przebłagać, gdyż na to, by mu wszystko wyjaśnić, nie miał ani czasu, ani możliwości. Uciekł więc do drzwi swego pokoju i przycisnął się do nich, aby, jak tylko ojciec wejdzie z przedpokoju, mógł zaraz zobaczyć, że Gregor ma najlepszy zamiar wrócić do siebie, i że nie potrzeba go wypędzać, lecz tylko otworzyć drzwi, a zaraz zniknie.

Ale nastrój ojca nie sprzyjał zwracaniu uwagi na takie subtelności.

- Ach! - zawołał zaraz przy wejściu takim tonem, jak gdyby jednocześnie był wściekły i wesoły.

Gregor odchylił głowę od drzwi i uniósł ją ku ojcu. Doprawdy, nie wyobrażał sobie ojca takim, jaki stał teraz tutaj; ostatnio, co prawda, wskutek nowego nawyku pelzania przestał się, tak jak dawniej, troszczyć o to, co dzieje się w mieszkaniu, i właściwie powinien być przygotowany na to, że zastanie tu zmienione warunki. Mimo to, mimo to, czyż to był jeszcze ojciec? Ten sam człowiek, który leżał dawniej gnuśnie zagrzebany w łóżku, gdy Gregor wybierał się w handlową podróż; który wieczorami, gdy wracał, przyjmował go w szlafroku, w fotelu; nie był nawet w stanie powstać, lecz tylko na znak radości unosił ramiona; który podczas rzadkich wspólnych przechadzek w kilka niedziel w roku i w najważniejsze święta, idąc między Gregorem i matką, którzy już sami szli powoli, posuwał się naprzód zawsze jeszcze nieco wolniej, zawinięty w swój stary płaszcz i zawsze ostrożnie stawiając laskę, a gdy chciał coś powiedzieć, prawie zawsze zatrzymywał się, a towarzystwo gromadziło się wokół niego?

Teraz był dumnie wyprostowany, ubrany w obcisły niebieski uniform ze złotymi guzikami, taki jaki noszą woźni bankowi; nad wysokim sztywnym kołnierzem surduta rozlewał się jego potężny, podwójny podbródek; spod krzaczastych brwi wybiegało żywe i uważne spojrzenie; rozczochrane, niegdyś białe włosy zaczesane były starannie i skrupulatnie w błyszczącą fryzurkę z przedziałkiem. Czapkę, do której przypięty był złoty monogram, prawdopodobnie bankowy, cisnął łukiem przez cały pokój na kanapę i odrzuciwszy połę swego długiego munduru, szedł ku Gregorowi z rękami w kieszeniach i zajadłym wyrazem twarzy. Sam chyba nie wiedział, co zamierza; unosił stopy niezwykle wysoko i Gregor dziwił się ogromnie wielkości jego podeszew. Nie stał jednak przy tym w miejscu, wiedział przecież już od pierwszego dnia swego nowego życia, że ojciec uważał za słusne stosować wobec niego tylko najwyższą surowość. Tak więc biegł przed ojcem, zatrzymywał się, gdy ojciec przystawał, i znów śpieszył naprzód, gdy tylko ojciec się poruszył. W ten sposób wielokrotnie okrążyli pokój i nie zdarzyło się nic decydującego, a wskutek powolnego tempa nie wyglądało to nawet na pościg. Dlatego też Gregor trzymał się tymczasem podłogi, zwłaszcza iż obawiał się, że ojciec mógłby uznać za szczególnie złośliwą ucieczkę na ściany lub sufit. Zresztą Gregor musiał sobie powiedzieć, że nawet tego biegu długo nie wytrzyma, bo podczas gdy ojciec stawiał jeden krok, on musiał wykonać niezliczoną ilość ruchów. Zaczął już odczuwać duszności, tym bardziej że i dawniej jego płuca nie były całkiem godne zaufania. Gdy się więc tak zataczał, zbierając wszystkie siły do biegu, ledwie otwierał oczy, w swym odrętwieniu nie myślał nawet o innym sposobie ratunku niż bieg; i już prawie zapomniawszy, że stały mu otworem ściany, tutaj zastawione zresztą troskliwie rzeźbionymi meblami pełnymi haków i kantów. I wtedy nagle przeleciało coś tuż koło niego i potoczyło się przed nim. Było to jabłko i zaraz nadleciało drugie. Gregor zatrzymał się przerażony. Dalszy bieg był zbyteczny, gdyż ojciec postanowił go zbombardować. Napelnił kieszenie owocami z tacy na kredensie i rzucał teraz, nie celując na razie dokładnie, jabłko za jabłkiem. Te małe czerwone jabłka toczyły się w kółko po podłodze jak naelektryzowane i obijały się o siebie. Jedno, słabo rzucone, musnęło grzbiet Gregora, ale ześliznęło się nie czyniąc mu szkody. Następne, rzucone zaraz po tamtym, dosłownie wbiło się w jego tułów, Gregor chciał powlec się dalej, jak gdyby zmieniając miejsce mógł ujść przed niespodzianym, niewiarygodnym bólem; czuł się jednak jakby przygwożdżony i rozciągnął się w zupełnym pomieszeniu zmysłów.

Ostatnim spojrzeniem ujrzał jeszcze, jak gwałtownie otworzyły się drzwi jego pokoju i przed krzyczącą siostrą biegła matka, w koszuli, gdyż siostra rozebrała ją, by jej w omdleniu zapewnić swobodny oddech. Potem matka pobiegła do ojca, gubiąc po drodze suknie, które rozwiązane, jedna po drugiej ześlizgiwały się na podłogę; potykając się o nie, matka dopadła ojca, objęła go kurczowo - wzrok

Gregora odmawiał mu już jednak posłuszeństwa - i ściskając dłońmi głowę ojca błagała go o darowanie Gregorowi życia.

III

Jabłko, którego nikt nie odważył się usunąć, tkwiło w ciele Gregora jako widoczna pamiątka, i zdawało się, że ciężka rana, z powodu której Gregor chorował ponad miesiąc, przypomniawszy nawet ojcu, że mimo swej obecnej smutnej i obrzydliwej postaci Gregor jest jednak członkiem rodziny i nie należy traktować go jak wroga, lecz przeciwnie, obowiązek rodzinny nakazuje przemoc wstręt i mieć dla niego cierpliwość, już tylko cierpliwość.

Toteż choć teraz Gregor z powodu rany stracił prawdopodobnie na zawsze ruchliwość i na samo przejście pokoju potrzebował długich, długich minut, jak stary inwalida - o pełzaniu w górze nie było nawet co myśleć - w zamian za to pogorszenie się swego stanu otrzymał zupełnie w jego mniemaniu wystarczającą nagrodę. Polegała ona na tym, że zawsze pod wieczór zostawiano otwarte drzwi do pokoju rodzinnego, drzwi, które on już na godzinę lub dwie godziny przedtem zwykł był z napięciem obserwować, tak że leżąc w ciemnościach własnego pokoju i z pokoju rodzinnego niewidoczny, mógł patrzeć na całą rodzinę siedzącą przy oświetlonym stole i niejako za ogólnym zezwoleniem, a więc, zupełnie inaczej niż dawniej, przysłuchiwać się rozmowom.

Zapewne, nie były to już ożywione gawędy z dawnych czasów, o których Gregor zawsze z tęsknotą myślał w małych pokojach hotelowych, gdy znużony musiał się rzucać na wilgotną pościel. Teraz mówiło się przeważnie tylko bardzo cicho. Ojciec wkrótce po kolacji zasypiał w swoim krześle; matka i siostra upominały się nawzajem o ciszę, matka, silnie nachylona ku światłu, szła delikatną bielizną dla magazynu mód; siostra, która przyjęła posadę ekspedientki, uczyła się wieczorem stenografii i francuskiego, aby może kiedyś później móc objąć lepsze stanowisko. Niekiedy ojciec się budził i jakby wcale nie wiedział o tym, że zasnął, mówił do matki: - Jak długo znowu dzisiaj szyjesz - i natychmiast zasypiał z powrotem, podczas gdy matka i siostra wymieniały zmęczony uśmiech.

Nawet w domu wzbraniał się ojciec z dziwnym uporem zdejmować swój służbowy uniform, i podczas gdy szlafrok bezużytecznie wisiał na wieszaku, ojciec drzemał na swym miejscu całkowicie ubrany, jak gdyby zawsze gotów do służby i jakby nawet tu czekał na głos zwierzchnika. Wskutek tego uniform, już na początku nienowoty, pomimo całej troskliwości matki i siostry nie grzeszył czystością, i Gregor często całymi wieczorami patrzył na owo wyplamione, lecz błyszczące zawsze wyczyszczonymi złotymi guzikami ubranie, w którym stary człowiek spał bardzo niewygodnie, a jednak spokojnie.

Skoro tylko zegar wybił dziesiątą, matka cichymi słowy próbowała obudzić ojca i nakłonić go, aby poszedł do łóżka, gdyż tutaj nie mógł się przecież dobrze wyspać, a sen był mu bardzo potrzebny, bo już o szóstej musiał rozpoczynać służbę. Lecz ojciec z uporem, który opanował go od czasu, gdy został woźnym, nastawał zawsze, żeby jeszcze dłużej pozostać przy stole, mimo że regularnie zasypiał i potem tylko z największym trudem dawał się nakłonić do zmiany krzesła na łóżko; choć matka i siostra nalegały nań wówczas, delikatnie upominając, on całymi kwadransami powoli potrzasał głową, nie otwierał oczu i nie wstawał. Matka szarpała go za rękaw i mówiła do ucha pochlebstwa, siostra zostawiała swoje zadanie, by pomóc matce, ale na ojca to nie działało.

Zapadał tylko jeszcze głębiej w krzesło. Dopiero gdy kobiety brały go pod ramiona, otwierał oczy, patrzył kolejno na matkę i na siostrę, i zwykle mówił:

- To jest życie. To są spokojne dni mojej starości.

I wsparty na obydwu kobietach, podnosił się z trudnością, jak gdyby sam dla siebie był największym ciężarem, pozwalał im odprowadzić się do drzwi, tam oddalał je skinieniem i dalej szedł już o własnych siłach, podczas gdy matka najspieszniej odrzucała przybory do szycia, a siostra pióro, aby pójść za ojcem i dalej służyć mu pomocą.

Któż w tej zapracowanej i przemęczonej rodzinie miał czas, aby troszczyć się o Gregora więcej, niż to bezwzględnie było konieczne? Gospodarstwo domowe ograniczano coraz bardziej, oddalono przecież teraz służącą; rano i wieczorem przychodziła ogromna, koścista posługaczka z białymi rozczochranymi włosami, aby wykonać najcięższą robotę; wszystko inne załatwiała matka przy mnóstwie swych krawieckich prac. Doszło nawet do tego, że rozmaite klejnoty rodzinne, które dawnej matka i siostra nosiły z wielką radością z okazji zabaw i uroczystości, zostały sprzedane, jak o tym Gregor dowiedział się wieczorem przy wspólnym omawianiu uzyskanych cen. Najwięcej jednak zawsze się skarżono, że nie można opuścić tego mieszkania, o wiele za obszernego na obecne warunki, gdyż trudno było obmyślić sposób przesiedlenia Gregora. Gregor pojmował jednak, że to nie tylko względem niego utrudniał

przeprowadzkę. Jego można było przecież łatwo przetransportować w odpowiedniej skrzyni i z kilkoma otworami dla dopływu powietrza.

Tym, co przede wszystkim powstrzymywało rodzinę od zmiany mieszkania, była raczej zupełnie rozpaczliwa sytuacja i myśl o tym, że spotkało ich takie nieszczęście, jakie nie dotknęło nikogo w kręgu krewnych i znajomych. Wypełnili do ostatka wszystko, czego świat żąda od ludzi biednych; ojciec przynosił śniadania drobnym urzędnikom w banku, matka naprawiała bieliznę obcych ludzi, a siostra na rozkazy klientów tam i z powrotem biegła za ladą; ale na nic więcej nie starczyło już rodzinie sił. I rana na grzbiecie zaczynała Gregora boleć od nowa, gdy matka i siostra, odprowadziwszy ojca do łóżka, wracały teraz, nie podejmowały roboty, siadały bliźutko siebie, policzek przy policzku, a matka, pokazując na pokój Gregora, mówiła:

- Zamknij te drzwi, Greto.

I teraz Gregor znowu pogrążał się w ciemności, a tuż obok kobiety mieszały swe lzy lub nie płacząc nawet wpatrywały się milcząc w stół.

Noce i dni spędzał Gregor prawie zupełnie bez snu. Niekiedy myślał, że przy następnym otwarciu drzwi znów, całkiem tak jak dawniej, ujmie sprawy rodziny w swoje ręce; w myślach jego pojawiali się znów po długim czasie szef i prokurent, pomocnicy handlowi i praktykanci, mało pojętny służący, dwaj czy trzej przyjaciele z innych firm, pokojówka z hotelu na prowincji, miłe, ulotne wspomnienie, kasjerka ze składu kapeluszy, o której względy starał się poważnie, ale zbyt powoli - wszyscy oni zjawiali się, zmieszani z obcymi lub już zapomnianymi, ale zamiast pomóc jemu i jego rodzinie, byli wszyscy nieprzystępni. Cieszył się, kiedy znikali. Potem jednak odchodziła go nagle ochota, aby troszczyć, się o rodzinę. Wypełniała go tylko wściekłość z powodu złej pielęgnacji, i chociaż nie mógł sobie wyobrazić niczego, na co miałby apetyt, robił przecież plany, jakby tu się udać do spizami i choćby nawet nie czuł głodu, zabrać stamtąd to, co mimo wszystko mu się należało. Teraz siostra, nie myśląc już wiele o tym, czym mogłaby sprawić Gregorowi szczególną przyjemność, w największym pośpiechu, zanim rano i w południe pobiegła do sklepu, wsuwała nogą do pokoju Gregora jakiegokolwiek jedzenie, aby wieczorem, nie zważając na to, czy zostało tylko skosztowane, czy - najczęściej - zupełnie nietknięte, wymieść je jednym zamachem miotły. Sprzątania pokoju, którym teraz zajmowała się tylko wieczorem, nie można już było załatwiać szybciej. Wzdłuż ścian ciągnęły się smugi brudu, tu i ówdzie leżały kupki kurzu i śmieci. Z początku Gregor z chwilą przyjscia siostry stawał w specjalnie odznaczającym się brudem kącie, aby tą pozycją uczynić jej niejako wymówkę. Ale mógłby tam chyba stać tygodniami, a siostra by się nie poprawiła; widziała ona brud równie dobrze jak on, ale zdecydowała właśnie, że go pozostawi.

Przy tym zaś z całą, nową u niej drażliwością, której nabyła w ogóle zresztą cała rodzina, czuwała nad tym, aby sprzątnięcie pokoju Gregora pozostało jej sprawą. Pewnego razu matka podjęła się wielkiego sprzątnięcia w pokoju Gregora, musiała zużyć na to parę kubłów wody - wiele wilgoci sprawiło zresztą także przykrość Gregorowi i rozparł się na kanapie rozgoryczony i nieruchomy - ale kara nie ominęła za to matki. Bo skoro tylko siostra zauważyła wieczorem zmianę w pokoju Gregora, natychmiast, zraniona do żywego, pobiegła do rodzinnego pokoju i tam, mimo że matka unosiła błagalnie ręce, wybuchnęła spazmatycznym płaczem, czemu rodzice - ojciec został naturalnie wypłoszony ze swego krzesła - przypatrywali się z początku zdumieni i bezradni. Potem i oni zaczęli się klócić; ojciec z jednej strony robił wymówki matce, że zostawiła siostrze pokój Gregora do oczyszczenia, z drugiej strony krzyczał na siostrę, że już nigdy nie będzie jej wolno go sprzątać. Podczas gdy nieposiadającego się ze zdenerwowania ojca matka próbowała zaciągnąć do sypialni, a siostra, wstrząsana łkaniem, bębniła swymi małymi piąstkami o stół, Gregor głośno syczał z wściekłości o to, że nikomu nie przyszło na myśl zamknąć drzwi, aby oszczędzić mu tego widoku i hałasu.

Ale nawet jeśli siostrze, wyczerpanej pracą zawodową, uprzykrzyło się troszczyć o Gregora tak jak dawniej, to przecież matka nie musiała jej zastępować, a mimo to Gregor mógł nie być zaniebawiany.

Była bowiem teraz posługaczka. Ta stara wdowa, która dzięki swym silnym kościom potrafiła wytrzymać najgorsze w ciągu długiego życia, nie czuła właściwie do Gregora wstrętu. Bez żadnej ciekawości otworzyła kiedyś przypadkowo drzwi do pokoju Gregora i natknęła się na niego. Ogromnie przerażony, choć nikt go nie gonił, Gregor zaczął biegać tam i z powrotem, a ona stała zdumiona, z rękami założonymi na brzuchu. Od tego czasu nigdy nie omieszkała rano i wieczorem uchylić przelotnie drzwi i zajrzeć do Gregora. Z początku przywoływała go także do siebie słowami, które prawdopodobnie uważała za przyjazne:

- Chodź no tu, stary żuku! - albo: - Patrzcie no na starego żuka!

Na takie zaczepki Gregor nic nie odpowiadał, lecz trwał na swoim miejscu nieporuszony, jak gdyby w ogóle nikt nie otwierał drzwi. Gdybyż zamiast pozwalać na to, aby posługaczka przeszkadzała mu

stosownie do swych kaprysów, wydano jej rozkaz, żeby codziennie sprzątnęła pokój! Pewnego razu, wczesnym rankiem - o szyby uderzał gwałtowny deszcz, może już znak nadchodzącej wiosny - Gregor, gdy posługaczka znów zaczęła swoje mówki, był tak rozdrażniony, że obrócił się do niej z wolna zresztą i cheralwo, lecz jakby do ataku. Ale posługaczka, zamiast się przestraszyć, podniosła tylko wysoko w górę krzesło znajdujące się w pobliżu drzwi i gdy stała tam z szeroko otwartymi ustami, wyraźny był jej zamiar zamknięcia ust dopiero wtedy, gdy trzymane przez nią krzesło spadnie na grzbiet Gregora.

- A co, dalej już nie możesz? - spytała, gdy Gregor znów się odwrócił, i spokojnie postawiła krzesło z powrotem w kącie.

Gregor nic już prawie teraz nie jadł. Tylko, jeśli przypadkowo zbliżył się do przygotowanego jedzenia, brał dla zabawy jeden kęs w usta, trzymał go godzinami, a potem najczęściej wypluwał.

Początkowo myślał, że to smutek, spowodowany wyglądem pokoju, powstrzymuje go od jedzenia; ale właśnie ze zmianami, które zaszły w pokoju, pogodził się bardzo szybko. Przyzwyczajono się wstawiać do tego pokoju rzeczy, których nie było gdzie umieścić, a rzeczy tych było teraz wiele, gdyż jeden pokój w mieszkaniu wynajęto trzem panom. Ci poważni panowie - wszyscy trzej mieli brody, jak Gregor ustalił raz, patrząc przez szparę w drzwiach - skrupulatnie zważali na porządek, nie tylko w ich pokoju, ale, skoro już się tutaj sprowadzili, w całym gospodarstwie, a specjalnie w kuchni. Nie znosili rzeczy nieużytecznych, a tym bardziej brudnych. Ponadto przywieźli ze sobą większość swoich własnych sprzętów. Z tego powodu stało się zbędnych wiele rzeczy, które wprawdzie nie nadawały się do sprzedania, ale których nie chciano także wyrzucić. Wszystkie one powędrowały do pokoju Gregora.

Nawet skrzynie na popiół i na odpadki z kuchni. Co tylko w danym momencie było niepotrzebne, posługaczka, zawsze bardzo pośpiesznie, wrzucała po prostu do pokoju Gregora; Gregor widział najczęściej odnośny przedmiot i rękę, która go trzymała. Zawsze posługaczka miała zamiar w wolnym czasie i przy okazji znów wynieść te rzeczy albo wszystkie wyprzątnąć za jednym razem, lecz w istocie zostały one tam, gdzie znalazły się w chwili, gdy zostały rzucone, chyba że Gregor przeczłogał się przez tę graciarnię i poruszył ją. Robił to najpierw zmuszony koniecznością, gdyż nie miał już miejsca do pelzania, potem jednak z coraz większą przyjemnością, chociaż po takich wędrówkach, śmiertelnie znużony i smutny, znowu całymi godzinami leżał bez ruchu.

Ponieważ sublokatorzy jadali czasem kolację w domu, we wspólnym pokoju rodzinnym, drzwi do tego pokoju w niektóre wieczory pozostawały zamknięte. Gregor zniósł to jednak zupełnie łatwo, przecież już wielu wieczorów, podczas których były one otwarte, nie wykorzystał, tylko leżał w najciemniejszym kącie swego pokoju, a rodzina nawet tego nie spostrzegła. Raz jednak posługaczka zostawiła drzwi do pokoju rodzinnego nieco uchylone, pozostały tak uchylone i wówczas, gdy wieczorem nadeszli sublokatorzy i zapalono światło. Usiedli przy stole na miejscach, na których dawniej siadali ojciec, matka i Gregor, rozłożyli serwetki i ujęli w ręce noże i widelce. Natychmiast w drzwiach pojawiła się matka z półmiskiem mięsa, a tuż za nią siostra z półmiskiem, na którym piętrzyły się kartofle. Jedzenie silnie parowało. Sublokatorzy schylili się nad postawionymi półmiskami, jak gdyby przed jedzeniem chcieli je sprawdzić i rzeczywiście ten, który siedział pośrodku i wydał się autorytetem dla dwóch pozostałych, odkroił kawałek mięsa jeszcze na półmisku, widocznie po to, aby ustalić, czy jest dość kruche i czy nie należy czasem odesłać go do kuchni. Był zadowolony, a matka i siostra, patrząc na to w napięciu, odetchnęły i uśmiechnęły się.

Sama rodzina jadła w kuchni. Mimo to ojciec, zanim poszedł do kuchni, wszedł do pokoju i ukloniwszy się jeden jedyny raz, z czapką w ręku obszedł stół naokoło. Sublokatorzy podnieśli się z miejsc i mruknęli coś w brody. Potem, gdy zostali sami, jedli w zupełnym prawie milczeniu. Dziwnym wydało się Gregorowi, że z wszystkich różnorodnych odgłosów wydawanych przy jedzeniu słyszał tylko wciąż zgrzytanie ich zębów, jak gdyby trzeba mu było pokazać, że po to, aby jeść, trzeba mieć zęby i że nawet najpiękniejszymi, ale bezzębnymi szczękami nic się nie działo.

„Nie brak mi przecież apetytu - powiedział sobie Gregor, pelen troski - ale nie na te rzeczy. Oto ci panowie sobie jedzą, a ja ginę!”

Właśnie tego wieczora rozległ się w kuchni dźwięk skrzypiec. Gregor nie przypominał sobie, czy słyszał go przez cały ubiegły czas. Sublokatorzy skończyli już wieczerę, siedzący w środku wyciągnął gazetę, dwóm pozostałym dał po jednym arkuszu i teraz, rozparci, czytali i palili. Gdy skrzypce zaczęły grać, zwrócili na to uwagę, powstali i na palcach podeszli ku drzwiom do przedpokoju, przy których stanęli stłoczeni. Musiano ich usłyszeć z kuchni, gdyż ojciec zawołał:

- Czy ta gra sprawia może panom przykrość? Można ją natychmiast przerwać!
- Przeciwnie - powiedział ów, co przedtem siedział w środku. - Może panienka zechce przyjść do nas i zagrać tutaj w pokoju, gdzie jest przecież znacznie wygodniej i przyjemniej?
- Ależ proszę - zawołał ojciec, jak gdyby to on był skrzypkiem.

Panowie wrócili do pokoju i czekali. Wkrótce przyszedł ojciec z pulpitem do nut, matka z nutami i siostra ze skrzypcami.

Siostra spokojnie przygotowała wszystko do gry; rodzice, którzy nigdy przedtem nie odnajmowali pokoju i dlatego przesadzali w uprzejmości wobec sublokatorów, nie odważyli się nawet usiąść na swych własnych krzesłach; ojciec oparł się o drzwi, prawą rękę wsunął między dwa guziki zapiętego munduru, ale matka usiadła na krześle, zaofiarowanym jej przez jednego z panów, w kącie na uboczu, gdzie je ów pan przypadkowo postawił.

Siostra zaczęła grać. Ojciec i matka, każde ze swego miejsca, uważnie obserwowali ruchy jej rąk.

Gregor pociągnięty grą, odważył się posunąć nieco dalej i głowę trzymał już w pokoju rodzinnym.

Trochę się dziwił, że ostatnio tak mało zważał na innych - dawniej owe względy dla innych były jego dumą. W dodatku właśnie teraz miałby więcej powodów, by się ukrywać, gdyż wskutek kurzu, który pokrywał cały jego pokój i unosił się przy najmniejszym poruszeniu, cały był nim pokryty; na grzbiecie i po bokach niósł ze sobą nitki, włosy, resztki jedzenia; jego obojętność na wszystko była zbyt wielka, aby się położyć na grzbiecie i - tak jak dawniej czynił to wielokrotnie w ciągu dnia - oczyścić się o dywan. A mimo to nie wahał się posunąć nieco naprzód po nieskazitelnej podłodze pokoju rodzinnego.

Nikt zresztą nie zwrócił na niego uwagi. Rodzina była całkowicie pochłonięta grą; natomiast panowie, którzy początkowo z rękami w kieszeniach spodni ustawili się o wiele za blisko za pulpitem, jak gdyby wszyscy musieli zaglądać w nuty, co z pewnością siostrze przeszkadzało, wkrótce, rozmawiając półgłosem z opuszczonymi głowami, cofnęli się pod okno, gdzie też pozostali troskliwie obserwowani przez Ojca. Sprawiało to teraz aż nadto wyraźne wrażenie, jakby rozczarowali się sądząc, że posłuchają pięknej lub zabawnej gry, jakby mieli już dość całego przedstawienia i tylko z uprzejmości pozwalali jeszcze zakłócać sobie spokój. Zwłaszcza sposób, w jaki wszyscy wydmuchiwali w górę nosem i ustami dym z cygar, wskazywał na ich wielką nerwowość. A przecież siostra grała tak pięknie. Twarz przechyliła na bok, a wzrok jej badawczo i smutnie przebiegał linijki nut. Gregor podpełznął jeszcze kawałek naprzód, a głowę trzymał tuż przy podłodze, aby o ile możliwości napotkać jej spojrzenie. Czy był zwierzęciem, skoro muzyka tak go pociągała? Było mu tak, jak gdyby ukazała mu się droga do upragnionego, nieznanego pożywienia. Zdecydowany był podpełznąć aż do siostry, pociągnąć ją za sukienkę i dać jej w ten sposób do zrozumienia, że mogłaby przecież przyjść ze swymi skrzypcami do jego pokoju, gdyż nikt tutaj nie cenil jej gry tak bardzo, jak on pragnął ją cenić. Nie wypuściłby jej już ze swego pokoju, przynajmniej dopóty, dopóki by żył; jego okropna postać po raz pierwszy by mu się przydała; byłby równocześnie przy wszystkich drzwiach swego pokoju i syczałby na napastników. Ale siostra powinna by zostać przy nim nie z musu, lecz dobrowolnie; siedziałaby tuż obok niego na kanapie, nachyliłaby ku niemu ucho, a on jakże chętnie zwierzyłby jej, że miał kiedyś mocny zamiar, aby ją posłać do konserwatorium, i gdyby tymczasem nie zdarzyło się nieszczęście, w ubiegłe Boże Narodzenie - bo przecież Boże Narodzenie już chyba minęło - powiedziałby to wszystkim, nie zwracając uwagi na żadne sprzeciwy.

Po tym oświadczeniu siostra wybuchnęłaby łzami ze wzruszenia, a Gregor uniósłby się aż do jej ramion i pocałował ją w szyję, którą, odkąd chodziła do sklepu, miała odkrytą, bez wstążki i bez kołnierzyka.

- Panie Samsa! - zawołał ów środkowy pan do ojca i nie tracąc ani słowa więcej, wskazał palcem na wolno przesuwanego się naprzód Gregora. Skrzypce umilkły, sublokator najpierw uśmiechnął się do przyjaciół potrząsając głową, a potem znowu spojrzal na Gregora. Ojcu zdawało się, że zamiast wypędzać Gregora, trzeba przede wszystkim uspokoić sublokatorów, choć ci bynajmniej nie byli zdenerwowani, a Gregor zdawał się bawić ich więcej niż gra na skrzypcach. Pospieszył ku nim i szeroko otwartymi ramionami próbował zmusić ich, by weszli do swego pokoju, a równocześnie własnym ciałem starał się zasłonić im Gregora. Teraz panowie istotnie nieco się rozgniewali, nie wiadomo czy z powodu zachowania się ojca, czy dlatego że zrozumieli, iż nic o tym nie wiedząc mieli za sąsiada coś takiego jak Gregor. Żądali od ojca wyjaśnień, sami z kolei podnosili do góry ramiona, niespokojnie skubali brody i niechętnie, z wolna cofali się do swego pokoju. Tymczasem siostra przewyciężyła odrętwienie, w które popadła po gwałtownie przerwanej grze. Przez pewien czas trzymała w bezwładnie opuszczonych rękach skrzypce i smyczek i jak gdyby jeszcze grała, wciąż patrzyła w nuty, lecz potem od razu zerwała się, położyła instrument na kolanach matki, która siedziała jeszcze na swym krześle dysząc ciężko w ataku duszności, i pobiegła do sąsiedniego pokoju, do którego ponaglieni przez ojca sublokatorzy już się szybciej zbliżali. Widać było, jak pod wprawnymi rękami siostry leciały w górę, a potem porządnie układały się na łóżkach koldry i poduszki. Zanim jeszcze panowie doszli do pokoju, była gotowa ze słaniem i wymknęła się.

Ojciec wydawał się znów tak bardzo tkwić w swym uporze, że zapomniał o wszelkim respekcie, jaki był winien swym podnajemcom. Ponaglał ich tylko i ponaglał dopóty, dopóki już w drzwiach pokoju ów środkowy pan nie tupnął grzmiąco nogą i w ten sposób ojca nie powstrzymał.

- Niniejszym oświadczam - mówił uniósłszy rękę, a wzrokiem szukał także matki i siostry - że ze względu na panujące w tym mieszkaniu i w tej rodzinie wstrętne stosunki - splunął przy tym krótko i zdecydowanie na podłogę - wypowiadam natychmiast swój pokój. Nie zapłacę też oczywiście ani grosza za poprzednie dni, podczas których tutaj mieszkałem, przeciwnie, zastanowię się jeszcze, czy nie wystąpię przeciwko państwu z jakimiś, proszę mi wierzyć, łatwymi do uzasadnienia pretensjami.

Zamilkł i spojrział wprost przed siebie, jakby czegoś oczekiwał. Istotnie, jego dwaj przyjaciele natychmiast wpadli mu w słowo:

- My także od zaraz wypowiadamy. - Wówczas tamten chwycił za klamkę i z trzaskiem zamknął drzwi.

Macając rękami, ojciec dowlókl się i opadł na swoje krzesło; wyglądało to, jakby wyciągnął się do zwykłej wieczornej drzemki, lecz silne drżenie głowy, jak gdyby pozbawionej oparcia, wskazywało, że bynajmniej nie spał. Gregor przez cały czas leżał cicho w miejscu, w którym przyłapali go sublokatorzy.

Rozczarowanie z powodu nieudania się jego planu, lecz pewnie także słabość spowodowana przez częste głodowanie uniemożliwiły mu poruszenie się. Obawiał się, i to z dziwną pewnością, że już w następnym momencie rozładuje się nad nim jakiś kataklizm. Czekał na niego. Nie przstraszyły go nawet skrzypce, które wysunęły się spod drżących palców matki, spadły jej z kolan i wydały głośny dźwięk.

- Kochani rodzice - powiedziała siostra i na wstępie uderzyła pięścią w stół. - Tak dalej być nie może. Jeżeli wy tego nie pojmujecie, to ja to pojmuję. Nie chcę wobec tego potwora wymawiać imienia mojego brata i mówię tylko: musimy spróbować się go pozbyć. Uczyniliśmy, co w ludzkiej mocy, aby go pielęgnować i znosić, myślę, że nikt nie może nam zrobić najmniejszego zarzutu.

- Ona ma po tysiącokroć słuszność - wypowiedział ojciec swój pogląd.

Matka, która wciąż jeszcze nie mogła zaczerpnąć pełnego oddechu, poczęła z obłędym wyrazem oczu głucho kaszleć w stuloną dłoń.

Siostra podbiegła do matki i podtrzymała jej czoło. Dzięki słowom siostry ojciec nabrał, zdawało się, lepszych myśli, usiadł prosto, bawił się swą służbową czapką wśród talerzy pozostałych na stole po kolacji sublokatorów, a od czasu do czasu spoglądał na spokojnego Gregora.

- Musimy spróbować pozbyć się go - mówiła siostra, teraz już wyłącznie do ojca, gdyż matka wśród swego kaszlu nic nie słyszała. - On was obydwój doprowadzi do grobu, wiem, że to się stanie. Jeśli już musi się pracować tak ciężko, jak my wszyscy, nie można jeszcze znosić w domu tej wiecznej męczarni.

Ja też już tego nie wytrzymuję. - I wybuchnęła tak gwałtownym płaczem, że jej lzy trysnęły na twarz matki. Starła je machinalnie.

- Moje dziecko - rzekł ojciec ze współczuciem i z niezwykłą u niego wyrozumiałością - cóż jednak powinniśmy uczynić?

Siostra wzruszyła tylko ramionami na znak bezradności która ogarnęła ją podczas płaczu, zajmując miejsce poprzedniej pewności siebie.

- Gdyby on mógł nas zrozumieć - powiedział ojciec na pół pytająco.

Siostra, płacząc, gwałtownie machnęła ręką na znak, że o tym nie ma nawet co myśleć.

- Gdyby on mógł nas zrozumieć - powtórzył ojciec i zamknął oczy, okazując w ten sposób, że podziela przekonanie siostry - wtedy, być może, można by się z nim jakoś umówić. Ale jak...

- On musi zniknąć - zawołała siostra - to jest jedyny sposób, ojczu. Musisz się tylko pozbyć wszelkiej myśli o tym, że to jest Gregor. Naszym nieszczęściem jest właśnie, że wierzyliśmy w to tak długo. Ale jakżeby to mógł być Gregor? Gdyby to był Gregor, od dawna by już rozumiał, że współzycie ludzi z takim stworem jest niemożliwe, i odszedłby dobrowolnie. Wtedy nie mielibyśmy brata, ale moglibyśmy żyć dalej i czcić jego pamięć. Teraz zaś prześladuje nas to zwierzę, wypędza sublokatorów, chce najwidoczniej zagarnąć dla siebie całe mieszkanie, a nam każe nocować na ulicy. Spójrz tylko, ojczu, już znowu zaczyna! - I siostra, z całkowicie dla Gregora niezrozumiałym przerażeniem, opuściła nawet matkę, odepchnęła się wprost od jej krzesła, jak gdyby wołała raczej poświęcić matkę, niż znaleźć się w pobliżu Gregora, i śpiesznie ukryła się za ojcem, który, poruszony jej zachowaniem, także się podniósł i wyciągnął rękę, jak gdyby w obronie siostry.

Ale Gregorowi nie przyszło nawet na myśl, żeby chcieć przstraszyć kogokolwiek, a zwłaszcza siostrę. Po prostu zaczął się odwracać, aby powędrować z powrotem do swego pokoju; wyglądało to zresztą dziwnie, ponieważ wobec niedyspozycji obroty przychodziły mu z trudnością i musiał pomagać sobie głową, którą przy tym wiele razy unosił, to znów uderzał nią o podłogę. Zatrzymał się i obejrzał.

Zdaje się, że zrozumiano jego dobry zamiar; przestrach rodziny był tylko chwilowy. Teraz wszyscy patrzyli na niego w milczeniu i ze smutkiem. Matka leżała w swym krześle, nogi miała wyciągnięte, oczy jej zapadły się niemal z wycieńczenia. Ojciec i siostra siedzieli obok siebie; siostra zarzuciła ojcu rękę na szyję.

„Teraz już pewnie mogę się odwrócić” - pomyślał Gregor i znów zabrał się do pracy. Nie mógł stłumić sapania wywołanego wysiłkiem, musiał też od czasu do czasu wypoczywać. Nikt go zresztą nie popędzał, pozostawiono mu pełną swobodę. Gdy ukończył obrót, natychmiast zaczął wędrować z powrotem przed siebie. Dziwił się wielkiej odległości, jaka dzieliła go od jego pokoju, i zupełnie nie pojmował, jak mógł przy swoim osłabieniu przebyć dopiero co tę samą drogę zupełnie tego nie zauważając. Myśląc tylko o tym, by posuwać się jak najszybciej, nie zwracał prawie uwagi na to, że ze strony rodziny nie padło ani jedno słowo, ani jeden okrzyk.

Dopiero gdy był już w drzwiach, odwrócił głowę, niezupełnie zresztą, bo czuł, że kark mu sztywnieje, ale zobaczył w każdym razie, że nic się za jego plecami nie zmieniło, siostra tylko powstała z miejsca. Ostatnie jego spojrzenie padło na matkę, która teraz całkiem już zasnęła.

Zaledwie znalazł się w swoim pokoju, drzwi zostały pośpiesznie zamknięte i zaryglowane. Gregor tak bardzo przestraszył się gwałtownego hałasu, że załamały się pod nim nóżki. To siostra tak się pośpieszyła. Stała tuż i tylko czekała, potem lekko podskoczyła, Gregor nie słyszał nawet kiedy, a przekręcając klucz w zamku, krzyknęła do rodziców:

- Nareszcie!

„I cóż teraz?” - zapytał Gregor sam siebie i rozejrzał się w ciemności. Wkrótce odkrył, że już w ogóle nie może się poruszyć. Nie zdziwiło go to, raczej wydawało mu się nienaturalne, że aż do tej chwili potrafił się rzeczywiście poruszać na tych cienkich nóżkach. Zresztą było mu względnie dobrze. Czuł wprawdzie bóle w całym ciele, ale zdawało mu się, jak gdyby były one coraz słabsze, słabsze, aż w końcu całkiem zanikały. Ledwie już czuł zgnile jabłko tkwiące w grzbiecie i rozognione ciało wokół niego, całe pokryte miękkim kurzem. O rodzinie myślał znowu ze wzruszeniem i miłością. Jeszcze niemal bardziej niż siostra przekonany był o tym, że powinien zniknąć. Trwał wśród tych czczych i spokojnych rozważań do chwili, gdy zegar na wieży wybił trzecią nad ranem. Przeżył jeszcze pierwszy brzask świtu za oknami.

Potem bezwolnie opuścił nisko głowę i ostatni, słaby oddech wypłynął z jego nozdrzy.

Gdy wczesnym rankiem przyszła posługaczka - mimo iż często proszono ją, aby tego unikała, trzaskała w pośpiechu wszystkimi drzwiami tak silnie, że w całym mieszkaniu po jej przyjsciu nie można już było spać spokojnie - gdy tedy przyszła, z początku przy zwykłej, krótkiej wizycie u Gregora nie spostrzegła nic szczególnego. Sądziła, że on umyślnie leży tak nieruchomo i udaje obrażonego; przypisywała mu wszelki możliwy rozum. Ponieważ przypadkowo trzymała w ręce długą miotłę, próbowała od drzwi polaskotać Gregora. Gdy to nie odniosło skutku, rozgniewała się, popchnęła lekko Gregora i dopiero kiedy ruszyła go z miejsca bez żadnego oporu, zwróciło to jej uwagę. Gdy wkrótce poznała prawdziwy stan rzeczy, zrobiła wielkie oczy, gwizdnęła pod nosem, ale nie zatrzymując się długo, z trzaskiem otworzyła drzwi do sypialni i głośno zawołała w ciemność:

- Spójrzcie tylko państwo, on zdechl! Leży sobie tutaj, na dobre zdechl!

Państwo Samsa zerwali się i usiedli w małżeńskim łóżu, starając się ochłonąć ze strachu, jakiego nabawiła ich posługaczka, dopiero po chwili zrozumieli, z czym przychodzi. Potem jednak pan i pani Samsa, każde ze swojej strony pośpiesznie wstali z łóżka; pan Samsa zarzucił koldrę na ramiona, pani Samsa wybiegła tylko w nocnej koszuli; tak wkroczyli do pokoju Gregora. Tymczasem otworzyły się także drzwi od pokoju rodzinnego, w którym od czasu wprowadzenia się sublokatorów spała Greta; była zupełnie ubrana, jak gdyby wcale nie spała, jej blada twarz zdawała się to potwierdzać.

- Nie żyje? - spytała pani Samsa i niepewnie spojrzała na posługaczkę, choć mogła to przecież sama zbadać, a nawet przekonać się o tym bez badania.

- Chyba się nie mylę - powiedziała posługaczka i na dowód tego miotłą odepchnęła zwłoki Gregora jeszcze dość daleko na bok. Pani Samsa uczyniła ruch, jak gdyby chciała miotłą zatrzymać, ale nie zrobiła tego.

- No - powiedział pan Samsa - teraz możemy podziękować Bogu. - Przeżegnał się, a trzy panie poszły za jego przykładem.

Greta, która nie odwracała wzroku od zwłok, powiedziała:

- Popatrzcie no, jaki był chudy. Bo też już od dawna nic nie jadł. Jak się wstawiało jedzenie, tak się je wynosiło.

Istotnie, ciało Gregora było zupełnie zwiotczałe i wyschłe, widziało się to właściwie dopiero teraz, gdy nie unosił się już na nóżkach i można było bez przeszkody mu się przyjrzeć.

- Greto, chodź no do nas na chwilkę - powiedziała pani Samsa i Greta, nie przestając oglądać się na zwłoki, poszła za rodzicami do sypialni. Posługaczka zamknęła drzwi i szeroko otworzyła okno. Mimo wczesnego rana powietrze było już jakieś letnie. Był właśnie koniec marca.

Trzej panowie sublokatorzy wyszli ze swego pokoju i zdumieni rozejrzeli się za śniadaniem; zapomniano o nich.

- Gdzie jest śniadanie? - gderliwie zapytał posługaczki ów środkowy pan. Ale ona położyła palec na ustach, a potem szybko w milczeniu skinęła na panów, żeby weszli do pokoju Gregora. Przyszli więc i z rękami w kieszeniach swych znoszonych nieco surducików stanęli w całkiem już teraz jasnym pokoju wokół zwłok Gregora.

Wtedy otworzyły się drzwi od sypialni i pojawił się pan Samsa w swej liberii; po jednej stronie miał żonę, po drugiej córkę. Wszyscy byli trochę zapłakani; od czasu do czasu Greta przyciskała twarz do ramienia ojca.

- Panowie natychmiast opuszczają moje mieszkanie! - powiedział pan Samsa i nie puszczając od siebie kobiet wskazał im drzwi.

- Jak pan to rozumie? - zapytał nieco zaskoczony środkowy pan i słodko się uśmiechnął. Dwaj inni trzymali ręce założone do tyłu i bezustannie je zacierali, jakby w wesołym oczekiwaniu wielkiej kłótni, która musi jednak zakończyć się dla nich pomyślnie.

- Rozumiem to dokładnie tak, jak mówię - odrzekł pan Samsa i wraz ze swymi towarzyszkami postąpił ku sublokatorowi. Ten stał najpierw spokojnie i patrzył w podłogę, jak gdyby układał sobie dopiero na nowo myśli w swojej głowie. Następnie powiedział: - Wobec tego idziemy - i spojrział na pana Samsę, jakby w pokorze, która nagle nim owładnęła, prosił o zgodę nawet i na tę decyzję. Pan Samsa mrugnął mu tylko kilkakrotnie i krótko wielkimi oczami. Na to sublokator rzeczywiście poszedł długimi krokami do przedpokoju; obydwaj jego przyjaciele już od chwili nasłuchiwali, trzymając ręce spokojnie, a teraz skoczyli wprost za nim jakby w trwodze, że pan Samsa mógłby przed nimi wkroczyć do przedpokoju i rozłączyć ich z wodzem. W przedpokoju wszyscy trzej zdjęli z wieszadła kapelusze, wyciągnęli laski ze stojaka, skłonili się w milczeniu i opuścili mieszkanie. Z jakimś zupełnie, jak się okazało, bezpodstawnym niedowierzaniem wyszedł pan Samsa na klatkę schodową wraz z obiema paniami; wszyscy troje, przechyleni przez poręcz, przypatrywali się, jak trzej panowie z wolna wprawdzie, lecz stale schodzili w dół po długich schodach, co piętro znikali za określonym zakretem schodów, a po kilku chwilach zjawiali się znowu. Im głębiej schodzili, tym mniej rodzina Samsy interesowała się nimi, a gdy naprzeciw nich wyszedł, a potem wysoko ponad nimi pojawił się dumnie czeladnik rzeźnicki z koszem na głowie, wtedy pan Samsa wraz z paniami puścili poręcz i wszyscy jakby z ulgą wrócili do mieszkania.

Dzisiejszy dzień postanowili wykorzystać na wypoczynek i przechadzkę; nie tylko zasłużyli na tę przerwę w pracy, ale nawet bezwarunkowo jej potrzebowali. Usiedli zatem przy stole i napisali trzy listy z usprawiedliwieniami: pan Samsa do swojej dyrekcji, pani Samsa do swego zleceniodawcy i Greta do swego pryncypała. Podczas pisania weszła posługaczka, żeby powiedzieć, że odchodzi skończywszy swą poranną pracę. Troje piszących z początku skinęło głowami, nie patrząc, dopiero gdy posługaczka wciąż jeszcze nie chciała odejść, spojrzeli na nią gniewnie.

- No? - zapytał pan Samsa.

Posługaczka stała w drzwiach z uśmiechem, jak gdyby miała zawiadomić rodzinę o wielkim szczęściu, ale chciała to uczynić dopiero wówczas, gdy się ją dokładnie wypyta. Umieszczone na jej kapeluszu niemal pionowo małe strusie pióro, które odkąd tylko posługaczka nastąpiła, zawsze drażniło pana Samsę, chwiała się lekko na wszystkie strony.

- Więc czego pani właściwie chce? - spytała pani Samsa, przed którą posługaczka miała jeszcze największy respekt.

- No - odparła posługaczka, a pelen uprzejmości uśmiech nie pozwolił jej zaraz mówić dalej - no więc, nie potrzebujecie się państwo martwić, jak toto stąd uprzętnąć. To już załatwione.

Pani Samsa i Greta pochyliły się nad swymi listami, jak gdyby chciały dalej pisać; pan Samsa, który zauważył, że posługaczka chce teraz zacząć dokładnie wszystko opowiadać, powstrzymał ją stanowczo wyciągniętą dłonią. Skoro więc nie wolno jej było opowiedzieć, przypomniała sobie o tym, że bardzo się śpieszy, wyraźnie obrażona zawołała: - Adje wszystkim! - odwróciła się z wściekłością i wyszła, straszliwie trzasnąwszy drzwiami.

- Wczorom się ją oddali - powiedział pan Samsa, nie otrzymał jednak odpowiedzi ani od żony, ani od córki, gdyż posługaczka znów zakłóciła ich ledwie odzyskany spokój. Podniosły się, podeszły do okna i stały tam, trzymając się w objęciu. Pan Samsa odwrócił się ku nim ze swego krzesła, przez krótką chwilę obserwował w milczeniu, potem zawołał:

- Ależ chodźcie tutaj! Zostawcie już wreszcie te stare sprawy. Miejcie też trochę względów dla mnie. Panie zaraz usłuchały, pośpieszyły do niego, ugłaskały go i szybko skończyły swoje listy.

Potem wszyscy troje wyszli razem z domu, czego nie robili już od miesięcy, i pojechali tramwajem za miasto. Wagon, w którym siedzieli sami, był cały prześwietlony ciepłym słońcem. Wygodnie oparci na swoich miejscach, omawiali widoki na przyszłość i przy dokładniejszym ich zbadaniu okazało się, że nie są one bynajmniej złe. Właściwie wcale jeszcze z sobą o tym nie mówili, lecz dla wszystkich trojga były ich posady nadzwyczaj korzystne, obiecujące wiele zwłaszcza na przyszłość. Największe i natychmiastowe polepszenie sytuacji osiągnie się oczywiście łatwo przez zmianę mieszkania; chcieli teraz wziąć mniejsze i tańsze, lecz lepiej położone i w ogóle praktyczniejsze niż obecne, które wyszukał jeszcze Gregor. Niemal równocześnie, gdy tak rozmawiali, przyszło na myśl panu i pani Samsa, patrzącym na swą coraz bardziej ożywiającą się córkę, że mimo wszelkich utrapień, które oblekły błądzą jej policzki, rozwinęła się ona w piękną i bujną dziewczynę. Milknąc i niemal bezwiednie porozumiewając się wzrokiem, pomyśleli, że zbliża się czas, aby poszukać dla niej jakiegoś dzielnego męża. I jakby na potwierdzenie ich nowych marzeń i dobrych zamiarów, u celu drogi córka pierwsza podniosła się i przeciągnęła swoje młode ciało.

GŁODOMÓR

W ostatnich dziesiątkach lat zainteresowanie głodomorami bardzo osłabło. Podczas gdy dawniej urządzenie tego rodzaju przedstawić na własny rachunek dobrze się oplacało, teraz jest to zupełnie niemożliwe. Były inne czasy. Niegdyś głodomorem zajmowało się całe miasto; od jednego do drugiego dnia głodu wzrastało zaciekawienie, każdy pragnął zobaczyć głodomora przynajmniej raz dziennie, później pojawiali się abonenci, którzy przez cały dzień siedzieli przed małą, okratowaną klatką; pokazy odbywały się także w nocy, dla większego wrażenia przy świetle pochodni; w dni pogodne wynoszono klatkę na dwór i wtedy pokazywano głodomora zwłaszcza dzieciom; podczas gdy dla dorosłych był on często jedynie rozrywką, w której brali udział, ponieważ taka była moda, to dzieci pełne podziwu, z otwartymi ustami, dla pewności trzymając się za ręce, patrzyły, jak on, blady, w czarnym trykocie, z silnie wystającymi żebrami, gardząc nawet krzesłem, siedział na rozrzuconej słomie, czasem uprzejmie się kłaniając, z wymuszonym uśmiechem odpowiadał na pytania, wyciągał także ramię przez kraty, aby można było dotknąć jego chudości, lecz potem znowu całkiem zamykał się w sobie, nie troszczył się o nikogo, nie dbał nawet o tak ważne dla niego uderzenie zegara, który był jedynym meblem w klatce, tylko patrzył przed siebie z zamkniętymi prawie oczyma i od czasu do czasu upijał troszeczkę wody z maleńkiej flaszeczki, aby zwilżyć sobie wargi. Poza zmieniającymi się widzami byli tu także stali dozorczy wybrani przez publiczność, dziwnym przypadkiem zazwyczaj rzeźnicy, którzy, zawsze trzej równocześnie, mieli za zadanie pilnować głodomora dniem i nocą, aby w jakiś tajemniczy sposób nie przyjął on jednak pożywienia. Ale była to tylko formalność wprowadzona dla uspokojenia mas, gdyż wtajemniczeni widzieli dobrze, że głodomór podczas głodówki nie zjadłby nawet okruszyny nigdy, w żadnych okolicznościach, nawet pod przymusem; zabraniał tego honor jego sztuki. Oczywiście nie każdy dozorca umiał to zrozumieć, trafiały się nieraz nocne grupy dozorców, którzy odbywali straż bardzo niedbale, umyślnie siadali razem w odległym kącie i tam pogrążali się w grze w karty z oczywistym zamiarem użyczenia głodomorowi małego posiłku, którego, ich zdaniem, mógł zaczerpnąć z jakichś ukrytych zapasów. Nic nie sprawiało głodomorowi większej przykrości niż tacy dozorczy; doprowadzali go do rozpacz, czynili mu głodowanie straszliwie ciężkim; nieraz więc przewycięzał swoje osłabienie i w czasie takiego dozorowania śpiewał tak długo, jak tylko wytrzymał, aby pokazać tym ludziom, jak niesłusznie go podejrzewali. Ale niewiele to pomagało; podziwiali tylko jego zręczność, że nawet w czasie śpiewu potrafi jeść. O wiele miłsi byli mu dozorczy, którzy siadali przy klatce, nie zadowalali się mętnym nocnym oświetleniem sali, lecz kierowali na niego nocne światła elektrycznych lampek kieszonkowych, których dostarczał im impresario. Rażące światło nie przeszkadzało mu wcale, spać nie mógł przecież w ogóle, a trochę zdrzemnąć się potrafił zawsze, przy każdym oświetleniu i o każdej godzinie, także w przepelnionej, hałaśliwej sali. I z takimi dozorcami zawsze był gotów przepędzić całą noc bez snu; gotów był żartować z nimi, opowiadać im historie ze swego wędrownego życia, potem znowu słuchać ich opowiadań, a wszystko tylko dlatego, aby nie usnęli i aby im wciąż na nowo mógł udowadniać, że nie ma w klatce niczego do jedzenia i że głoduje tak, jak żaden z nich by nie potrafił. Ale najszcześniejszy był wtedy, gdy nadchodził poranek i przynoszono mu, na jego rachunek, bardzo obfite śniadanie, na które rzucali się z apetytem zdrowych mężczyzn będących po nużającej nocy spędzonej na warcie. Co prawda byli nawet ludzie, którzy w tym śniadaniu chcieli widzieć nieuczciwy środek wpływania na dozorców, ale tego było już za wiele, i gdy ich pytano, czyby też dla samej sprawy, bez śniadania, chcieli się podjąć nocnej straży, wycofywali się, upierając się jednak przy swoich podejrzeniach. Należały one zresztą do podejrzeń, których nie można oddzielić od głodowania w ogóle. Nikt przecież nie był w stanie spędzić przy głodomorze wszystkich dni i nocy bez przerwy jako strażnik, nikt więc nie mógł stwierdzić na własne oczy, czy naprawdę głodowano bez przerwy i nienagannie, mógł to wiedzieć tylko sam głodomór, a więc tylko on mógł być równocześnie zupełnie zadowolającym świadkiem swojego głodowania. On jednak - z innego znowu powodu - nigdy nie był zadowolony, możliwe, że to wcale nie wskutek głodowania wychudł tak bardzo, iż pewni ludzie z żalem musieli trzymać się z dala od pokazów, bo nie znosili już jego widoku - może wychudł tak wskutek niezadowolenia z samego siebie. Gdyż tylko on jeden wiedział i poza nim nie wiedział tego nawet nikt wtajemniczony, jak łatwe było głodowanie. To była najłatwiejsza rzecz na świecie. I nie ukrywał też tego, ale nie wierzono mu, w najlepszym razie uważano go za człowieka skromnego, ale najczęściej za szukającego reklamy albo wprost za oszusta, któremu głodowanie przychodzi łatwo dlatego, że potrafił uczynić je sobie łatwym, i który ma jeszcze czelność na pół do tego się przyznać. To wszystko musiał

znosić i z upływem lat przyzwyczaił się też do tego, ale zawsze gryzło go wewnątrz to niezadowolenie i nigdy jeszcze, po żadnym okresie głodowania - to świadectwo musi się mu wystawić - nie opuścił dobrowolnie klatki. Jako najdłuższy czas głodowania ustalił impresario dni czterdzieści, i ponad to nie pozwolił mu nigdy głodować, nawet w stolicach świata, i słusznie. Zgodnie z doświadczeniem mniej więcej przez czterdzieści dni można było przez wzrastającą stopniowo reklamę podniecać coraz bardziej zainteresowanie miasta; potem jednak publiczność zawodziła i stwierdzano istotny spadek frekwencji; istniały oczywiście w tym względzie drobne różnice między miastami i krajami, ale jako regułę przyjmowało się, że czterdzieści dni było okresem najdłuższym. Wtedy więc, w czterdziestym dniu, otwierano drzwi uwieńczonej kwiatami klatki, zachwyceni widzowie wypełniali amfiteatr, grała orkiestra wojskowa, dwaj lekarze wkraczali do klatki, aby przeprowadzić na głodomorze konieczne pomiary, przez megafon obwieszczano sali rezultaty, i w końcu podchodziły dwie młode damy, szczęśliwe, że je właśnie wybrano, i chciały wyprowadzić głodomora z klatki po paru stopniach, tam gdzie na małym stoliczku przygotowano starannie dobrany posiłek, jaki podaje się choremu. I w tym momencie głodomór zawsze się wzbraniał. Wprawdzie kładł jeszcze dobrowolnie swoje kościste ramiona w przyjaźnie wyciągnięte ręce nachylonych ku niemu dam, ale powstać nie chciał. Dlaczego zaprzestać właśnie teraz, po czterdziestu dniach? Wytrzymałby jeszcze długo, bezgranicznie długo, dlaczego przestać właśnie teraz, gdy głodowało mu się najlepiej, choć właściwie nigdy dotąd najlepiej mu się jeszcze nie głodowało? Dlaczego chciano go obrabować ze sławy dalszego głodowania, i to nie tylko ze sławy największego głodomora wszystkich czasów, którym prawdopodobnie już był, ale także prześcignięcia samego siebie aż do niepojętych szczytów, gdyż dla swych zdolności głodowania nie znał on żadnych granic. Dlaczego ten tłum, który udawał, że go tak podziwia, okazywał mu tak mało cierpliwości; jeżeli on wytrzymywał dalsze głodowanie, dlaczego oni nie mogli wytrzymać? Był też zmęczony, siedział sobie wygodnie w słomie, a teraz musiał się wyprostować na całą wysokość i podejść do jedzenia, o którym sama myśl wywoływała mdłości, powstrzymywane z trudem jedynie przez wzgląd na damy. I patrzył w górę, w oczy pozornie tak przyjaznych, a naprawdę tak okrutnych dam, i potrząsał głową zbyt ciężką na tak słabej szyi. Lecz potem działo się to, co działo się zawsze.

Przychodził impresario, podnosił niemo - muzyka uniemożliwiała przemówienie - ramiona ponad głodomorem, tak jakby zapraszał niebiosy do obejrzenia tu, na słomie, swego stworzenia, tego godnego pożałowania męczennika, którym zresztą głodomór był w istocie, tylko że w całkiem innym znaczeniu; obejmował głodomora w cienkiej talii, przy czym przez przesadną ostrożność chciał pokazać, z jaką to kruchą rzeczą ma tu do czynienia, i przekazywał go - nie bez potrząśnięcia nim trochę, niepostrzeżenie, tak że głodomór bezwładnie tu i tam kołysał nogami i tułowiem - damom, które tymczasem trupio poblady. Teraz głodomór pozwalał robić ze sobą wszystko; jego głowa leżała na piersi, wyglądało, jakby stoczyła się i zatrzymała tam w sposób niewyjaśniony; ciało było jakby wydrażone, nogi instynktem samozachowawczym ścisnęły się mocno w kolanach, szurały jednak po ziemi tak, jakby nie była to ziemia prawdziwa, prawdziwej dopiero szukały; i cały zresztą bardzo mały ciężar ciała leżał na jednej z dam, która szukając pomocy, zdyszana - nie tak wyobrażała sobie ową zaszczytną funkcję - z początku jak najdalej wyciągała szyję, aby przynajmniej twarz uchronić od zetknięcia z głodomorem, potem jednak, gdy jej się to nie udawało, a szczęśliwa towarzyszka nie przychodziła jej z pomocą, lecz zadawała się niesieniem przed sobą, z drzeniem, ręki głodomora, tej małej wiązki kości - wybuchła płaczem wśród zachwyconego śmiechu sali i musiał ją zastąpić służący, który od dawna już stał w pogotowiu. Potem przychodziło jedzenie, z którego impresario wmuszał nieco głodomorowi w czasie jego półsnu podobnego do omdlenia, wśród wesołej gawędy, która miała odwrócić uwagę od stanu głodomora; potem wznoszono jeszcze toast na cześć publiczności, który niby to głodomór podszeptował panu impresario; orkiestra potwierdzała wszystko wielkim tuszem, zaczynano się rozchodzić i nikt nie miał prawa być niezadowolonym z tego, co widział; nikt, tylko sam głodomór, zawsze tylko on.

Tak żył przez wiele lat, z małymi, regularnymi okresami wypoczynku, w pozornym blasku, szanowany przez świat, mimo wszystko jednak przeważnie w ponurym nastroju, tym bardziej jeszcze ponurym, że nikt nie umiał brać go poważnie. Czymże miano go pocieszać? Czegóż mógł sobie jeszcze życzyć? A gdy czasem znalazł się pocziwiec, który użalił się nad nim i chciał mu wytłumaczyć, że smutek jego pochodzi prawdopodobnie z głodu, to mogło się zdarzyć, zwłaszcza wśród daleko posuniętej głodówki, że głodomór odpowiadał wybuchem wściekłości i ku przerażeniu wszystkich zaczynał jak zwierzę trząść kratami klatki. Ale na takie wypadki impresario miał na podorędziu karę, którą chętnie stosował. Usprawiedliwiał głodomora przed zebraną publicznością i dodawał, że li tylko wywołana przez głód i dla ludzi sytych zasadniczo niezrozumiała pobudliwość może wytłumaczyć jego zachowanie; następnie w związku z tym przechodził do dającego się w podobny sposób wytłumaczyć twierdzenia artysty, że mógłby głodować jeszcze o wiele dłużej, niż głoduje, chwalił owe szczytne

dążności, dobrą wolę, wielkie samozaparcie, które z pewnością zawierało się także i w tym twierdzeniu; następnie jednak próbował dość prosto odeprzeć to twierdzenie przez pokazywanie fotografii, które równocześnie sprzedawano, a na których widać było głodomora w czterdziestym dniu głodu, na łóżku, gasnącego niemal z wycieńczenia. Tego znanego dobrze głodomorowi, ale wciąż na nowo doprowadzającego go do rozstroju przekręcania prawdy było mu za wiele. To, co było następstwem przedwczesnego końca głodówki, przedstawiano tu jako przyczynę! Walczyć przeciw tej głupocie, przeciwko temu światu głupoty, było niemożliwością. Wciąż jeszcze z dobrą wiarą przysłuchiwał się w klatce temu, co mówił impresario, ale za każdym razem, gdy zjawiały się fotografie, puszczał kraty, z westchnieniem opadał z powrotem na słomę i uspokojona publiczność znów mogła podejść i oglądać go.

Gdy świadkowie takich scen powracali do nich myślą w parę lat później, często nie rozumieli samych siebie. Gdy tymczasem nastąpił ów wspomniany gwałtowny przełom, stało się to prawie nagle i mogło mieć głębsze przyczyny, ale komuż zależało na tym, aby je odszukać; w każdym razie pewnego dnia rozpieszczonego głodomora opuścił szukający rozrywek tłum, który zaczął chętniej podążać na inne przedstawienia. Raz jeszcze impresario pognał z nim przez pół Europy, aby stwierdzić, czy nie wzbudzi się jeszcze tu i ówdzie dawnego zainteresowania; wszystko na próżno; jakby za tajnym porozumieniem powstała wszędzie niechęć do pokazowych głodówek.

Naturalnie, w rzeczywistości nie mogło to przyjść tak nagle i teraz poniewczasie przypominano sobie niejedne, w upojeniu powodzeniem nie dość uwzględniane i nie dość wówczas zwalczane zapowiedzi tego stanu. Teraz jednak za późno było coś przeciw nim podejmować. Co prawda było pewne, że kiedyś przyjdzie znowu czas głodówki, ale dla żyjących nie była to żadna pociecha. Cóż miał teraz począć głodomór? Ten, na którego cześć wiwatowały tysiące, nie mógł się pokazywać w budach na małych jarmarkach, a na to, by jąc się innego zawodu, był głodomór nie tylko za stary, ale przede wszystkim zanadto fanatycznie oddany głodowaniu.

Tak więc rozstał się ze swym impresario, towarzyszem bezprzykładnej kariery, i pozwolił się zaangażować wielkiemu cyrkowi; aby zaś oszczędzić swą wrażliwość, nie spojrzął nawet na warunki umowy.

Wielki cyrk ze swą niezliczoną ilością wciąż się wyrównujących i uzupełniających nawzajem ludzi, zwierząt i urzędów może każdej chwili potrzebować każdego artysty, nawet głodomora, oczywiście przy odpowiednio skromnych wymaganiach, a zresztą w tym szczególnym przypadku angażowano nie tylko samego głodomora, lecz także jego stare, sławne nazwisko, a nawet wobec szczególnej właściwości tej sztuki, nieobniżającej swego poziomu z rosnącym wiekiem, nie można było powiedzieć, że wysłużony, niestojący już u szczytu swych możliwości artysta chciał schronić się na spokojne stanowisko w cyrku; przeciwnie, głodomór zapewniał, i było to całkiem wiarygodne, że będzie głodował tak dobrze jak przedtem, twierdził nawet, że jeżeli mu się na to pozwoli, a to przyrzekano mu od razu, to dopiero teraz wprawi świat w prawdziwe zdumienie. Twierdzenie to zresztą, ze względu na panujące współcześnie nastroje, o których artysta w swym zapale łatwo zapominał, wywoływało u fachowców tylko uśmiech.

W istocie jednak i głodomór nie stracił poczucia rzeczywistości i uznał za samo przez się zrozumiałe, że nie ustawiono go z jego klatką jako numer popisowy na samym środku maneżu, tylko zapewniono mu miejsce na zewnątrz, w punkcie zresztą dość łatwo dostępnym, w pobliżu stajni. Wielkie, jaskrawo wymalowane napisy otaczały klatkę i obwieszczały, co w niej jest do zobaczenia. I gdy publiczność w pauzach przedstawienia cisnęła się do stajni, aby obejrzeć zwierzęta, nie można było prawie uniknąć tego, by nie przejść obok głodomora i nie zatrzymać się przy nim na chwilę, a nawet zatrzymywano by się przy nim dłużej, gdyby dłuższego, spokojnego oglądania nie uniemożliwiali w tym ciasnym przejściu cisnący się z tyłu, którzy nie rozumieli tego przystanku na drodze do upragnionych stajni.

To było także przyczyną, dla której głodomór drżał przecież przed tymi wizytami, których równocześnie życzył sobie jako celu swego życia. Z początku zaledwie mógł się doczekać pauz przedstawienia; zachwycony, pokazywał się tłoczącemu się tłumowi, aż nader wcześnie - najbardziej nawet uparte, prawie świadome oszukiwanie siebie nie oparło się doświadczeniom - przekonał się o tym, że najczęściej byli to, sądząc z zamiaru, coraz nowi, sami tylko prawie bez wyjątku zwiedzający stajnie.

I ten widok był z daleka zawsze jeszcze najpiękniejszy. Bo gdy już do niego docierali, ogarniały go zaraz krzyki i obelgi nieprzerwanie na nowo tworzących się grup, tych, którzy - ci stali się wkrótce dla głodomora najprzykrzejsi - chcieli go wygodnie obejrzeć nie ze zrozumieniem, lecz tylko dla kaprysu i z przekory, i tych drugich, którzy przede wszystkim chcieli się dostać do stajni. Ale gdy wielki tłok minął, nadchodzili spóźnieni; i ci właśnie, którym nie przeszkadzano już zatrzymywać się, jak długo tylko mieli ochotę, przechodzili obok niego długimi krokami, prawie nie patrząc w bok, byle na czas zdążyć do zwierząt. I niezbyt często zdarzał się szczęśliwy przypadek, że nadchodził ojciec rodziny ze swymi

dziećmi, wskazywał palcem na głodomora, dokładnie objaśniał, o co tutaj chodzi, opowiadał o dawnych latach, kiedy uczestniczył w podobnych, ale nieporównanie świetniejszych przedstawieniach - a wtedy dzieci, co prawda ciągle jeszcze nic nie rozumiały, z powodu swego niewystarczającego przygotowania ze szkoły i z życia - czymże był dla nich głód? - ale przecież w blasku swych badawczych oczu zdradzały coś z nowych, nadchodzących, łaskawszych czasów. A może, jak mówił sobie czasem głodomór, wszystko by się jednak trochę poprawiło, gdyby jego stanowisko nie było tak bardzo blisko stajni. Dano przez to ludziom zbyt łatwy wybór, nie mówiąc już o tym, że wyziewy stajni, niepokój zwierząt w nocy, przenoszenie surowych kawałków mięsa dla zwierząt drapieżnych i krzyki przy karmieniu dokuczały mu dotkliwie i stale mu ciążyły. Ale nie odważył się składać zażaleń w dyrekcji; zawsze przecież zawdzięczał zwierzętom tłumy zwiedzających, między którymi tu i tam mógł znaleźć się ktoś przeznaczony dla niego; a któż wiedział, gdzie by go schowano, gdyby chciał przypomnieć o swojej egzystencji, a przez to samo o tym, że ujmując rzecz dokładnie, był tylko przeszkodą na drodze do stajni.

Co prawda małą przeszkodą, coraz mniejszą przeszkodą. Przyzwyczajono się do tej osobliwości, że w dzisiejszych czasach żąda się zwrócenia uwagi na głodomora, i przyzwyczajawszy się, wydano na niego wyrok. Mógł sobie głodować, jak tylko potrafił, i robił to, ale nic już nie mogło go uratować, przechodono obok niego. Spróbuj wytłumaczyć komuś sztukę głodu! Jeżeli jej nie czuje, nie możesz mu jej uczynić zrozumiałą. Piękne napisy stały się brudne i nieczytelne, zrywano je i nikomu nie wpadło do głowy zastąpić ich innymi; tabliczka z liczbą odprawionych dni głodówki, początkowo starannie co dzień odnawiana, była już od dawna ta sama, gdyż po pierwszych tygodniach służbie znudziła się już nawet ta mała praca; tak więc głodomór głodował co prawda dalej, jak to sobie niegdyś wymarzył, i udawało mu się to bez trudu, tak właśnie, jak niegdyś przepowiedział, ale nikt już nie liczył dni, nikt, nawet sam głodomór nie wiedział już, jak wielkie było jego dzieło, i ciężko mu było na sercu.

I kiedy raz na pewien czas jakiś próżniak przystanął, żartował sobie ze starej liczby i mówił o oszustwie, to było to w tym sensie najgłupsze kłamstwo, jakie tylko obojętność i wrodzona złośliwość mogły wymyślić, albowiem to nie głodomór oszukiwał, on pracował uczciwie, to świat oszukał go o jego zapłatę.

Ubiegło jednak znowu wiele dni i skończyło się nawet i to. Raz jakiś dozorca spostrzegł klatkę i zapytał służbę, dlaczego zostawiono tu bezużytecznie klatkę, tak dobrze jeszcze nadającą się do użycia, choć ze zgniłą słomą w środku; nikt tego nie wiedział, aż wreszcie ktoś dzięki tabliczce z liczbami przypomniał sobie o głodomorze. Przetrząsnięto żerdziami słomę i znaleziono w niej głodomora.

- Wciąż jeszcze głodujesz? - zapytał dozorca. - Kiedy wreszcie przestaniesz?

- Przebaczone mi wszyscy - wyszeptał głodomór; ale tylko dozorca, który trzymał ucho przy kracie, rozumiał go.

- Oczywiście - powiedział dozorca i przyłożył palec do czoła, aby w ten sposób wytłumaczyć personelowi stan głodomora. - Wybaczamy ci.

- Zawsze pragnąłem, żebyście podziwiali moją głodówkę - rzekł głodomór.

- Toteż ją podziwiamy - odpowiedział dozorca uprzejmie.

- Ale nie powinniście jej podziwiać - rzekł głodomór.

- Dobrze, wobec tego nie podziwiamy jej - rzekł dozorca - ale właściwie dlaczego nie powinniśmy jej podziwiać?

- Ponieważ muszę głodować, nie potrafię inaczej - rzekł głodomór.

- Popatrz no - powiedział dozorca - a dlaczego nie potrafisz inaczej?

- Ponieważ - rzekł głodomór, uniósł nieco główkę i mówił wargami wydłużonymi, jak do pocałunku, wprost do ucha dozorca, aby nic nie uronił - ponieważ nie mogłem znaleźć potrawy, która by mi smakowała. Gdybym ją znalazł, wierz mi, nie starałbym się o wywołanie sensacji i najadłbym się tak jak ty i inni. - To były ostatnie słowa, ale jeszcze w zgasłych jego oczach tkwiło mocne, choć już nie dumne przeświadczenie, że głoduje dalej.

- Teraz jednak zróbcie porządek - powiedział dozorca i pogrzebano głodomora razem ze słomą. Do klatki zaś wpuszczono młodą panterę. Nawet dla najtępszych umysłów był wyraźnym wytchnieniem widok tego dzikiego zwierzęcia, rzucającego się w klatkę pustej od tak dawna. Panterze niczego nie brakowało. Smakującą jej żywność przynosili bez długiego namysłu dozorca, zdawało się, że nie brakuje jej nawet wolności. To szlachetne ciało, wyposażone we wszystko, co potrzebne, tak obficie, że niemal pękała skóra, zdawało się obnosić i wolność wraz z sobą; zdawała się ona tkwić gdzieś w zębach; i radość życia buchała z jej paszczy takim żarem, że oglądającym nietatwo było tu wytrzymać. Ale przewyciężali się, tłoczyli się wokół klatki i wcale nie chcieli się od niej ruszyć.

KOLONIA KARNA

Jest to szczególny aparat - powiedział oficer do podróżnego - badacza i jak gdyby z pewnym zdumieniem spojrzął na dobrze mu przecież znany przyrząd. Zdawało się, że podróżny jedynie z grzeczności przyjął zaproszenie komendanta, który go wezwał do asystowania przy egzekucji żołnierza skazanego za nieposłuszeństwo i obrazę zwierzchnika. Co prawda, także w kolonii karnej nie bardzo interesowano się tą egzekucją. W każdym razie tutaj, w małej dolinie, głębokiej, piaszczystej i zewsząd zamkniętej niczym nieporośniętymi stokami, prócz oficera i podróżnego był tylko skazaniec, tępy mężczyzna o szerokich szczękach, zaniedbanych włosach i zmiętej twarzy. Był jeszcze także żołnierz trzymający ciężki łańcuch, z którego zwisały małe łańcuchy, a te z kolei także między sobą były połączone specjalnymi łańcuchami. Krępowwały one kostki nóg, przeguby rąk, a także szyję skazańca. Skazaniec wyglądał zresztą posłusznie jak pies i zdawało się, że można by mu pozwolić spokojnie biegać po stokach, a na początku egzekucji wystarczyłoby gwizdnąć, żeby przyszedł.

Podróżny niewiele uwagi poświęcał aparatowi i przechadzał się tam i z powrotem poza plecami skazańca, niemal widocznie myśląc o czym innym, podczas gdy oficer zajmował się ostatnimi przygotowaniem. To wpełzał pod aparat, głęboko wbudowany w ziemię, to znów wchodził na drabinę, by sprawdzić jego górne części. Były to prace, które właściwie można było powierzyć maszyniście, ale oficer dokonywał ich z wielkim zapalem, czy to dlatego, że był szczególnym zwolennikiem tego aparatu, czy że z innych względów nie można było nikomu innemu powierzyć tej pracy.

- Teraz jest wszystko gotowe! - zawołał wreszcie i zszedł z drabiny.

Był niezwykle zmęczony, oddychał z otwartymi ustami, a za kołnierz munduru zatknięte miał dwie delikatne damskie chusteczki do nosa.

- Te mundury są jednak za ciężkie, jak na kraje podzwrotnikowe - powiedział podróżny, zamiast, jak tego oczekiwał oficer, zainteresować się aparatem.

- Zapewne - odparł oficer myjąc zabrudzone oliwą i smarem ręce w przygotowanym kubku z wodą - ale one oznaczają ojczyznę; nie chcemy stracić z myśli ojczyzny. Ale niech pan teraz spojrzy na ten aparat - dodał zaraz, osuszył ręce ręcznikiem i równocześnie wskazał na przyrząd. - Dotychczas potrzebna była jeszcze praca rąk, ale odtąd aparat pracuje zupełnie sam.

Podróżny skinął głową i poszedł za oficerem. Ten zaś próbował zabezpieczyć się na wszelki wypadek, mówił więc:

- Zdarzają się naturalnie uszkodzenia, co prawda mam nadzieję, że dzisiaj ich nie będzie, ale zawsze trzeba się z nimi liczyć. Aparat powinien być w ruchu przez dwanaście godzin bez przerwy. Jeśli nawet trafiają się defekty, to są one całkiem drobne i natychmiast się je naprawia. Czy nie zechce pan usiąść? - zapytał w końcu, ze stosu trzcinowych krzeseł wyciągnął jedno i ofiarował je podróżnemu; ten nie mógł odmówić.

Siedział teraz nad brzegiem wykopu, rzucił weń przelotne spojrzenie. Wykop nie był bardzo głęboki. Po jednej jego stronie wygrzebana ziemia piętrzyła się w wał, po drugiej stronie stał aparat.

- Nie wiem - rzekł oficer - czy komendant objaśniał już panu aparat.

Podróżny zrobił nieokreślony ruch ręką; oficer niczego więcej nie pragnął, gdyż mógł teraz sam udzielić objaśnień.

- Aparat ten - powiedział i ujął rękojeść korby, na której się oparł - jest wynalazkiem naszego poprzedniego komendanta. Współpracowałem już przy najwcześniejszych jego próbach, brałem także udział we wszystkich pracach aż do jego ukończenia. Zasluga dokonania wynalazku przypada zresztą wyłącznie naszemu poprzedniemu komendantowi. Czy słyszał pan o nim? Nie? A więc nie przesadzę, jeśli powiem, że urządzenie całej kolonii karnej jest jego dziełem. My, jego przyjaciele, wiedzieliśmy już w chwili jego śmierci, że urządzenie kolonii jest dziełem na tyle skończonym w sobie, że jego następca, choćby miał w głowie tysiąc nowych planów, nie będzie mógł - przynajmniej w ciągu wielu lat - zmienić nic ze starego. I nasza przepowiednia się spełniła; nowy komendant musiał to uznać. Szkoda, że nie znalazł pan poprzedniego komendanta! Ale - przerwał sobie oficer - ja tu gadam, a jego aparat stoi oto przed nami. Składa się on, jak pan widzi, z trzech części. Dla każdej z tych części z biegiem czasu powstały popularne swojskie określenia. Dolna część nazywa się „łóżkiem”, górna - „rysownikiem”, a ta tutaj środkowa, wisząca część nazywa się „broną”.

- Broną? - spytał podróżny.

Nie słuchał dość uważnie, słońce operowało zbyt silnie w nieocienionej dolinie, trudno było zebrać myśli. Tym bardziej godny podziwu wydawał mu się oficer, który w ciasnej, paradnej, obciążonej

epoletami i obwieszanej sznurami żołnierskiej kurtce tak gorliwie wykladał swoją rzecz, a oprócz tego, podczas gdy mówił, jeszcze tu i tam śrubokrętem dokręcał jakąś śrubę. W podobnym usposobieniu jak podróżny zdawał się być żołnierz. Owinął sobie łańcuch skazańca wokół obu przegubów, ręką oparł się na karabinie, zwiesił głowę i nic go nie obchodziło. Podróżny nie dziwił się temu, ponieważ oficer mówił po francusku, a z pewnością ani żołnierz, ani skazaniec nie znali francuskiego. Tym bardziej było zastanawiające, że skazaniec starał się jednak zrozumieć wyjaśnienia oficera. Z pewnego rodzaju ospałą wytrwałością kierował zawsze wzrok w to miejsce, które właśnie oficer wskazywał, a kiedy teraz podróżny przerwał oficerowi pytaniem, i on także, podobnie jak oficer, spojrzał na podróżnego.

- Tak, brona - odparł oficer. - To odpowiednia nazwa. Igły są umieszczone tak jak w bronie, a także całość porusza się jak brona, choć tylko w jednym miejscu, i to o wiele kunsztowniej. Zresztą zaraz pan to zrozumie. Tutaj, na łóżku, kładzie się skazańca. Chciałbym najpierw opisać aparat, a dopiero potem pokazać samą procedurę. Będzie pan ją mógł później lepiej śledzić. Zresztą koło zębate w rysowniku zbyt się już starło i bardzo skrzypi, kiedy jest w ruchu; zaledwie można się wtedy porozumieć; niestety bardzo trudno tu dostać części zapasowe. A więc tutaj, jak powiedziałem, jest łóżko. Jest ono całkowicie i dokładnie pokryte warstwą waty; dowie się pan jeszcze, w jakim celu. Na owej wacie kładzie się skazańca na brzuchu, oczywiście nagiego; tutaj są rzemienie, aby go przytrzymać za ręce, za nogi i za szyję. Tu u wezglowia łóżka, gdzie, jak powiedziałem, człowiek kładzie się najpierw twarzą, znajduje się ów mały klin filcowy, który z łatwością można tak wyregulować, aby wepchnąć go człowiekowi wprost w usta. A to w tym celu, aby przeszkodzić krzykom i rozgryzieniu języka. Naturalnie człowiek musi ten filc wziąć w usta, gdyż inaczej rzemień przytrzymujący szyję złamie mu kark.

- To jest wata? - spytał podróżny i pochylił się do przodu.

- Tak, na pewno - odparł oficer ze śmiechem - niech pan sam dotknie. - Ujął rękę podróżnego i przeciągnął ją po łóżku. - Jest to wata specjalnie spreparowana, dlatego wygląda tak nie do poznania; będę jeszcze mówił o jej przeznaczeniu.

Podróżny zainteresował się już nieco aparatem; trzymając dłoń nad oczami dla ochrony przed słońcem, spojrzał w górę na aparat. Była to duża budowla. Łóżko i rysownik posiadały jednakowe wymiary i wyglądały jak dwie ciemne skrzynie. Rysownik wznosił się mniej więcej dwa metry ponad łóżkiem; oba przyrządy były na krawędziach połączone czterema mosiężnymi sztabami, które niemal iskrzyły się w słońcu. Pomiędzy skrzyniami na stalowej taśmie wisiała brona.

Oficer ledwie zwrócił uwagę na poprzednią obojętność podróżnego, teraz jednak pochwycił jego budzące się zainteresowanie; dlatego przerwał swoje wyjaśnienia, aby zostawić podróżnemu czas na spokojną obserwację. Skazaniec naśladował podróżnego; ponieważ nie mógł osłonić oczu dłonią, mrugał ku górze nieosłoniętymi.

- A więc tutaj leży człowiek - rzekł podróżny, odchylił się w krzesło i skrzyżował nogi.

- Tak - odpowiedział oficer, odsunął czapkę nieco do tyłu i przeciągnął dłonią po gorącej twarzy. - Teraz niech pan posłucha. Zarówno łóżko, jak i rysownik posiadają swoje własne baterie elektryczne; łóżko potrzebuje jej dla siebie, rysownik dla brony. Skoro tylko człowiek zostanie przytrzymany, wprawia się łóżko w ruch. Drobnymi, bardzo szybkimi ruchami drga ono równocześnie na boki oraz przód i w tył. Podobne aparaty widział pan może w zakładach leczniczych; tylko że przy naszym łóżku wszystkie ruchy są dokładnie obliczone; mianowicie muszą one być dokładnie zestrojone z ruchami brony. Właśnie tej bronie pozostawia się samo wykonanie wyroku.

- Jakże więc brzmi wyrok? - zapytał podróżny.

- Tego pan także nie wie? - zdumiał się oficer i przygryzł wargi. - Proszę mi wybaczyć, jeżeli moje wyjaśnienia są nieuporządkowane; bardzo przepraszam. Dawniej mianowicie zwykł był objaśniać sam komendant; ale nowy komendant zwolnił się z tego szacownego obowiązku; że jednak nawet tak dostojnego gościa - podróżny obiema rękami próbował bronić się przed tymi wyrazami czci, lecz oficer obstawał przy nich - że nawet tak dostojnego gościa nie poinformował o formie naszego wyroku, to już jest coś nowego, co... - miał już na wargach przekleństwo, opanował się jednak i rzekł tylko: - Nie powiadomiono mnie o tym, nie moja więc wina. Zresztą, owszem, jestem w stanie jak najlepiej objaśnić nasze sposoby wykonywania wyroku, gdyż noszę tutaj - uderzył się po górnej kieszeni kurtki - odręczne rysunki poprzedniego komendanta.

- Odręczne rysunki samego komendanta? - spytał podróżny. - Czyżby on wszystko łączył w swej osobie? Czyżby był żołnierzem, sędzią, konstruktorem, chemikiem, rysownikiem?

- Tak jest - odparł oficer kiwając głową z nieruchomym, zamyślnym spojrzeniem. Następnie krytycznie spojrzał na swoje ręce; wydały mu się nie dość czyste, aby dotykać rysunków; poszedł więc do kubła i umył je raz jeszcze. Potem wyciągnął małą skórzaną teczkę i powiedział: - Nasz wyrok nie jest ciężki. Za pomocą brony należy skazańcowi wypisać na ciele nakaz, który przekroczył. Temu

skazańcowi na przykład - oficer wskazał na mężczyznę - wypisze się na ciebie: „Szanuj swego zwierzchnika!”

Podróżny przelotnie spojrzął na skazanego. Gdy oficer na niego wskazywał, trzymał on głowę pochyloną i zdawał się ze wszystkich sił natężyć słuch, aby się czegoś dowiedzieć. Ale ruchy jego nabrzmiałych, zaciśniętych warg wyraźnie wskazywały, że nic nie mógł zrozumieć. Podróżny chciał pytać o rozmaite rzeczy, ale na widok tego człowieka zapytał tylko:

- Czy on zna swój wyrok?

- Nie - odpowiedział oficer i chciał zaraz dalej ciągnąć objaśnienia, lecz podróżny mu przerwał:

- On nie zna swego własnego wyroku?

- Nie - odparł znowu oficer i zatrzymał się na chwilę, jak gdyby pragnął usłyszeć od podróżnego bliższe uzasadnienie jego pytania, po czym rzekł: - Zawiadamianie go o wyroku byłoby niepotrzebne. Pozna go przecież na własnym ciebie.

Podróżny chciał już zamilknąć, gdy uczuł, że skazaniec wlepia w niego wzrok, jak gdyby pytał, czy pochwała on opisane postępowanie. Dlatego podróżny, który już oparł się w krzesło, znowu pochylił się do przodu i zapytał jeszcze:

- Ale on chyba wie o tym, że w ogóle został skazany?

- Także nie - odrzekł oficer i uśmiechnął się do podróżnego, jak gdyby oczekiwał od niego jeszcze jakichś osobliwych wynurzeń.

- Nie - powiedział podróżny i przeciągnął dłonią po czole - a więc ten człowiek nie wie jeszcze teraz, jak przyjęto jego obronę?

- Nie dano mu żadnej sposobności obrony - powiedział oficer i spojrzął w bok, jakby przemawiał do samego siebie i nie chciał zawstydząć podróżnego opowiadaniem tych oczywistych dla niego rzeczy.

- Ależ on miał przecież chyba możliwość obrony - powiedział podróżny i wstał z krzesła.

Oficer poznał, iż grozi mu niebezpieczeństwo wstrzymania na dłużej objaśnień; podszedł więc do podróżnego, uwiesił się u jego ramienia, wskazał ręką na skazańca, który teraz, gdy tak wyraźnie zwrócono na niego uwagę, stanął wyprostowany - także żołnierz przyciągnął łańcuch - i powiedział:

- Rzecz ma się w sposób następujący. Tutaj, w karnej kolonii, ja zostałem ustanowiony sędzią. Mimo mego młodego wieku. Gdyż we wszystkich sprawach karnych ja także stałem u boku poprzedniego komendanta, a zarazem najlepiej znam aparat. Podstawowa zasada, według której wydaję orzeczenia, brzmi: wina jest zawsze niewątpliwa. Inne sądy mogą nie wyznawać tej zasady, gdyż składają się one z wielu głów oraz mają nad sobą sądy wyższe. Tutaj jest inaczej lub przynajmniej było inaczej za czasów poprzedniego komendanta. Nowy okazał już zresztą chęć mieszania się do moich orzeczeń, ale dotychczas udało mi się przed tym obronić i także dalej mi się będzie udawało. Pan chciał, aby wyjaśnić panu ten wypadek; jest on równie prosty jak wszystkie. Dziś rano pewien kapitan złożył doniesienie, że ten człowiek, który został mu przydzielony jako ordynans i sypia pod jego drzwiami, zasnął. Jego obowiązkiem jest mianowicie wstawać przy uderzeniu każdej godziny i salutować przed drzwiami kapitana. Obowiązek, rzecz jasna, nie jest ciężki, a jest konieczny, gdyż ów człowiek powinien być zawsze rzeński, tak do czuwania, jak i do usługi. Wczorajszej nocy kapitan chciał sprawdzić, czy ordynans wypełnia swój obowiązek. Z uderzeniem drugiej godziny otworzył drzwi i znalazł go skulonego we śnie. Poszedł po pejcz i uderzył go w twarz. Zamiast teraz wstać i prosić o przebaczenie, ten człowiek chwycił swego pana za nogi, potrząsnął nim i zawołał: Odrzuć pejcz, bo cię pożrę! Oto jest treść sprawy. Kapitan przyszedł do mnie przed godziną, spisałem jego zeznania i od razu wydałem wyrok. Potem kazałem nałożyć temu człowiekowi łańcuchy. Wszystko to było bardzo proste. Gdybym tego człowieka najpierw wezwał i wy badał, powstałoby tylko zamieszanie. On by kłamał, a gdyby mi się udało zbić te kłamstwa, zastąpiłby je nowymi kłamstwami, i tak dalej. A teraz go trzymam i już go nie puszcę. Czy już wszystko jasne? Ale czas mija, egzekucja powinna się już zacząć, a ja nie skończyłem jeszcze objaśniać aparatu.

Zmusił podróżnego do zajęcia krzesła, znowu podszedł do aparatu i zaczął:

- Jak pan widzi, kształt brony odpowiada kształtowi człowieka; tutaj jest brona dla tułowia, a tutaj są brony dla nóg. Dla głowy przeznaczone jest tylko to małe ostrze. Czy to dla pana jasne? - Nachylił się przyjaźnie ku podróżnemu, gotowy do najbardziej wyczerpujących objaśnień.

Podróżny ze zmarszczonym czołem oglądał bronę. Nie zadowolili go informacje na temat postępowania sądowego. Wciąż musiał sobie powtarzać, że idzie tu o karną kolonię, że konieczne są tutaj specjalne przepisy i że musi się aż do końca postępować po wojskowemu. Ale poza tym pokładał pewne nadzieje w osobie nowego komendanta, który widocznie, chociaż powoli, miał zamiar wprowadzić nowe postępowanie, tylko że nie może ono trafić do ograniczonej głowy tego oficera. Ten bieg myśli skłonił podróżnego do pytania:

- Czy komendant będzie obecny przy egzekucji?
- To nie jest pewne - odparł oficer, boleśnie dotknięty tym obcesowym pytaniem, a jego przyjazna mina zgorzkniała.

- Właśnie dlatego musimy się pośpieszyć. A nawet, choć z przykrością, będę musiał skrócić moje objaśnienia. Ale jutro, gdy aparat zostanie oczyszczony - gdyż jego jedynym błędem jest to, że tak bardzo się zanieczyszcza - mógłbym dodatkowo udzielić bliższych wyjaśnień. Teraz więc tylko najniezbędniejsze. Gdy człowiek leży na łóżku, a ono zostało już wprawione w drgający ruch, brona opada na ciało. Sama ustawia się w ten sposób, że ledwie tylko dotyka ciała ostrzami; gdy osiągnie się to ustawienie, ta oto stalowa lina natychmiast napręża się jak sztaba. I teraz zaczyna się zabawa. Niewtajemniczony nie widzi z zewnątrz żadnej różnicy pomiędzy karami. Wydaje się, że brona pracuje jednakowo. Drgając, zagłębia ona swoje ostrza w ciało, które ponadto drga wraz z łóżkiem. Aby zaś umożliwić każdemu kontrolę wykonania wyroku, brona została zbudowana ze szkła. Spowodowało to pewne trudności techniczne w związku z umocowaniem w niej igieł, ale po wielu próbach to się udało. Nie cofnęliśmy się, jak pan widzi, przed żadnym trudem. A teraz każdy może widzieć poprzez szkło, jak powstaje napis na ciele. Czy zechce pan podejść bliżej i obejrzeć sobie igły.

Podróżny podniósł się z wolna, podszedł i nachylił się nad broną.

- Widzi pan - mówił oficer - dwojake igły w wielorakim ustawieniu. Każda długa ma obok siebie jedną krótką. Długa mianowicie pisze, a z krótkiej tryska woda, która zmywa krew, aby zachować pismo w stałej czystości. Woda z krwią zostaje następnie skierowana tutaj do małych rynien i spływa w końcu do tej rynny głównej, której rura odpływowa prowadzi do wykopu.

Oficer dokładnie pokazywał palcem drogę, jaką woda z krwią musi przebyć. Gdy obiema rękami uchwycił wprost wylot rury odpływowej, aby to możliwie najbardziej unaocnić, podróżny podniósł głowę i macając ręką za sobą, chciał wrócić na krzesło. Wtedy zobaczył ku swemu przerażeniu, że podobnie jak on sam, również skazaniec skorzystał z zaproszenia oficera, aby obejrzeć z bliska urządzenie brony. Szarpnął nieco łańcuchem zaspanego żołnierza i także pochylił się nad szkłem. Widać było, jak nie pewnymi oczyma szukał tego, co właśnie oglądali obaj panowie, ale nie udawało mu się to, gdyż brakowało mu objaśnień. Nachylał się tu i ówdzie. Wciąż na nowo przebiegał wzrokiem po szkłe. Podróżny chciał go odpędzić, gdyż to, co czynił, było prawdopodobnie karalne. Ale oficer zatrzymał podróżnego silnie jedną ręką, a w drugą ujął grudkę ziemi z wału i rzucił nią w żołnierza. Ten gwałtownie otworzył oczy, zobaczył, na co skazaniec się odważył, upuścił karabin, zaparł się obcasami w ziemię, odciągnął skazańca do tyłu, aż ten upadł, i patrzył na niego z góry, jak obracał się i dzwonił łańcuchami.

- Pomóż mu wstać! - krzyknął oficer, gdyż zauważył, że skazaniec odciągał zbyt mało uwagę podróżnego. Podróżny odwrócił się nawet od brony, wcale się o nią nie troszcząc, lecz pragnął tylko stwierdzić, co się dzieje ze skazańcem.

- Obchodź się z nim ostrożnie! - krzyknął znowu oficer. Obiegł naokoło aparat, sam ujął skazańca pod ramiona i z pomocą żołnierza postawił go na ślizgających się co chwila stopach.

- Teraz wiem już wszystko - powiedział podróżny, gdy oficer znów do niego powrócił.

- Z wyjątkiem rzeczy najważniejszej - odparł tamten, ujął podróżnego za ramię i wskazał w górę. - Tam, w rysowniku, jest zespół kół zębatach, które regulują ruch brony, a zespół ten nastawia się odpowiednio do wykresu, na który opiewa wyrok. Wykorzystuję jeszcze wykresy poprzedniego komendanta. Oto one - wyciągnął kilka kartek ze skórzanej teczki. - Niestety, nie mogę dać ich panu do ręki, są najdroższą rzeczą, jaką posiadam. Niech pan usiądzie, pokażę je panu z tej odległości, tak że będzie pan mógł wszystko dobrze obejrzeć.

Pokazał pierwszą kartkę. Podróżny chętnie wyrzekłby kilka słów uznania, ale zobaczył tylko labirynt linii, wielokrotnie krzyżujących się nawzajem i tak gęsto pokrywających papier, że z trudem tylko można było rozpoznać między nimi białe, puste miejsca.

- Proszę czytać - powiedział oficer.

- Nie potrafię - odparł podróżny.

- Przecież to wyraźne - rzekł oficer.

- To bardzo kunsztowne - odpowiedział podróżny wymijająco - ale nie umiem tego odcyfrować.

- Tak - rzekł oficer, roześmiał się i schował teczkę z powrotem - to nie jest kaligrafia dla szkolnych dzieci. To trzeba długo studiować. I pan na pewno by się w końcu w tym rozeznał. To pismo oczywiście nie może być proste; nie powinno ono zabijać natychmiast, lecz przeciętnie dopiero w ciągu dwunastu godzin; na szóstą godzinę oblicza się punkt zwrotny. Właściwe pismo musi więc otaczać wiele, wiele ozdobników; prawdziwe pismo otacza ciało tylko wąskim paskiem; reszta tułowia przeznaczona jest na ozdobniki. Czy potrafi pan teraz ocenić pracę brony i całego aparatu? Niech pan tylko spojrzy!

Wskoczył na drabinę, zakręcił kołem, zawołał z góry:

- Uwaga, proszę odejść na bok! - i wszystko ruszyło. Gdyby koło nie skrzypiało, byłoby to wspaniałe. Oficer, jakby zaskoczony tą wadą koła, pogroził mu pięścią, następnie, usprawiedliwiając się, rozłożył ręce w stronę podróżnego i szybko zszedł z drabiny, aby z dołu obserwować ruch aparatu. Coś było jeszcze nie w porządku, co tylko on zauważył; wlaźł z powrotem na górę, wsadził obie ręce do wnętrza rysownika, potem, aby szybciej znaleźć się na dole, zamiast skorzystać z drabiny, ześliznął się po jednej ze sztab i natężając głos, aby być zrozumianym w tym loskocie, krzyknął podróżnemu do ucha: - Pojmuje pan działanie? Brona zaczyna pisać; kiedy z pierwszym napisem na grzbiecie człowieka jest już gotowa, zwija się warstwa waty i powoli obraca ciało na bok, aby dostarczyć bronie nowego miejsca. Tymczasem miejsca z wyrytym aż do krwi pismem kładą się na wacie, która dzięki specjalnemu spreparowaniu natychmiast tamuje krwawienie, co pozwala na dalsze pogłębianie pisma. Te tutaj haczyki na krawędzi brony oddzierają następnie, przy dalszym obrocie ciała, wate z ran, ciskają ją do wykopu i brona znów ma robotę. Tak pisze ona coraz głębiej w ciągu dwunastu godzin. Przez pierwsze sześć godzin skazaniec żyje niemal tak jak dawniej, cierpi tylko z powodu bólu. Po dwóch godzinach odejmuje się filc, gdyż człowiek nie ma już siły krzyczeć. Do tej tutaj elektrycznie ogrzewanej miski u wezłowia wlewa się ciepłą papkę z ryżu, z której człowiek, o ile ma ochotę, może wziąć tyle, ile zacerpnie językiem. Każdy korzysta z tej sposobności. Ja wiem, że każdy, a mam duże doświadczenie. Dopiero około szóstej godziny nie znajduje już skazaniec przyjemności w jedzeniu. Zazwyczaj klękam wtedy tutaj na dole i obserwuję to zjawisko. Człowiek rzadko połyka ostatni kęs, obraca go tylko w ustach i wypłuka do wykopu. Muszę się wówczas uchylić, inaczej trafiłby mnie w twarz. Ale jakże spokojny staje się człowiek wtedy, około szóstej godziny! Najgłupszy przychodzi do rozumu. Zaczyna się to koło oczu: stąd się rozszerza. Widok ten mógłby skłonić do położenia się samemu pod bronę. Dalej nic się nie dzieje, człowiek zaczyna tylko odcyfrowywać pismo, otwiera usta, jak gdyby nasłuchiwał. Widział pan, że nie jest łatwo odczytać to pismo oczyma; ale nasz człowiek odcyfrowuje je swymi ranami. Jest to zresztą duża praca. Do jej wykonania potrzebuje on sześciu godzin. Potem jednak brona przekłuwa go całkowicie i rzuca go do wykopu, gdzie z pluskiem pada na wodę z krwią i wate. Wówczas wymiar sprawiedliwości dobiegł końca, a my, ja i żołnierz, zagrzebujemy człowieka. Podróżny nachylił ucho do oficera i z rękami w kieszeniach surduta przypatrywał się pracy maszyny. Także skazaniec się jej przyglądał, jednak bez zrozumienia. Nachylił się nieco i śledził chwiejące się igły, gdy żołnierz, na znak oficera, przeciął mu z tyłu nożem koszulę i spodnie, tak że z niego opadły; skazaniec usiłował pochwycić spadającą odzież, by okryć swą nagość, ale żołnierz podniósł go w górę i strząsnął z niego ostatnie szmaty. Oficer zatrzymał maszynę i w zapadłej teraz ciszy ułożono skazańca pod broną. Zdjęto mu łańcuchy, a zamiast nich umocowano rzemienie; skazańcowi wydało się to w pierwszej chwili niemal ulgą. A teraz brona opuściła się jeszcze nieco niżej, gdyż był to chudy człowiek. Gdy ostrza go dotknęły, przez jego skórę przebiegł dreszcz; podczas gdy żołnierz zajęty był jego prawą ręką, wyciągnął on sam lewą w nie oznaczonym kierunku; był to jednak kierunek, w którym stał podróżny. Oficer bez przerwy patrzył z boku na podróżnego, próbując odczytać z jego twarzy wrażenie, jakie robi na nim egzekucja, którą mu dopiero co, przynajmniej powierzchownie, opisał.

Rzemień, przeznaczony dla przegubu ręki, pękł; prawdopodobnie żołnierz zaciągnął go zbyt mocno.

Oficer musiał pomóc, żołnierz pokazywał mu urwany kawałek. Oficer podszedł ku niemu i rzekł zwracając twarz do podróżnego:

- Maszyna jest bardzo skomplikowana, tu i ówdzie musi coś rwać się lub pękać; nie powinno to jednak wypaczać ogólnego sądu o niej. Rzemień można zresztą natychmiast zastąpić, użyję w tym celu łańcucha; ucierpi przez to co prawda delikatność drgań u prawego ramienia. - I zakładając łańcuchy mówił jeszcze: - Środki potrzebne do utrzymania maszyny są teraz bardzo ograniczone. Za czasów poprzedniego komendanta korzystałem swobodnie z kasy przeznaczonej tylko na ten cel. Był tutaj magazyn, w którym przechowywano wszelkie możliwe części zastępcze. Przyznaję, że dopuszczałem się przy tym niemal marnotrawstwa, oczywiście dawniej, a nie teraz, jak twierdzi nowy komendant, któremu wszystko służy jako pretekst do zwalczania dawnych urządzeń. Teraz sam zarządza kasą przeznaczoną na utrzymanie maszyny, a jeśli posyłam po nowy rzemień, żąda zerwanego jako dowodu, nowy przychodzi dopiero po dziesięciu dniach, jest już jednak w gorszym gatunku i nie na wiele się przydaje. Ale jak ja mam tymczasem obsługiwać maszynę bez rzemieni, to nikogo nie obchodzi.

Podróżny rozważał: wtrącać się energicznie w cudze sprawy, to zawsze budzi wątpliwości. On sam nie był ani obywatelem karnej kolonii, ani obywatelem państwa, do którego ona należała. Gdyby chciał potępić lub zgola próbować wstrzymać egzekucję, mogliby mu powiedzieć: „Jesteś obcy, siedź cicho”. Nie mógłby na to nic odpowiedzieć, lecz tylko dodać, że w tym wypadku on sam nie rozumie swego

postępowania, gdyż podróżuje jedynie po to, aby obserwować, a w żadnym razie nie po to, aby cokolwiek zmieniać w obcych procedurach sądowych. Ale tutaj sytuacja aż prowokowała do tego.

Niesprawiedliwość postępowania i nieludzkość egzekucji nie ulegała wątpliwości. Nikt nie mógł zarzucić podróżnemu jakiegokolwiek stronniczości, gdyż skazaniec był mu obcy, nie był jego rodakiem ani nawet człowiekiem wzbudzającym współczucie. A sam podróżny miał rekomendacje wyższych urzędów, był tutaj przyjmowany z najwyższą uprzejmością, a to, że zaproszono go na egzekucję, mogło nawet oznaczać, że pragnie się usłyszeć o niej jego opinię. Było to tym prawdopodobniejsze, że komendant, jak to teraz najwyraźniej usłyszał, nie był zwolennikiem tego postępowania, a w stosunku do oficera zachowywał się niemal wrogo.

Wtem usłyszał podróżny, że oficer krzyknął z wściekłości. Złożył właśnie skazańcowi, nie bez trudu, filcowy klin w usta, gdy skazaniec, nie mogąc opanować podrażnienia, zamknął oczy i zwymiotował. Oficer szybko poderwał go znad klina i chciał odwrócić mu głowę nad wykop; było jednak za późno, nieczystości spływały już po maszynie.

- Wszystko to wina komendanta! - krzyczał oficer i rzucał się nieprzytomnie przy mosiężnych sztabach.

- Maszyna zagnojona jak stajnia! - Drżącymi rękami pokazywał podróżnemu, co się stało. - Tak jakbym godzinami nie próbował tłumaczyć komendantowi, że w dniu przed egzekucją nie należy wydawać żadnego jedzenia! Ale nowe, łagodne kierownictwo jest innego zdania. Zanim człowieka odprowadzą, damy komendanta napychają go słodyczami po dziurki od nosa. Przez całe życie żywił się śmierdzącą rybą, a teraz musi jeść słodycze! Zresztą, niechby nawet, nie miałbym nic przeciw temu, ale dlaczego nie można nabyć nowego filcu, o który proszę od kwartału. Jak można bez wstrętu brać do ust ten filc, który ponad stu ludzi ssalo i gryzło w agonii?

Skazaniec położył głowę i wyglądał spokojnie, żołnierz zajęty był czyszczeniem maszyny koszulą skazańca. Oficer podszedł do podróżnego, który jakby coś przeczuwając odstąpił krok w tył, lecz oficer ujął go pod rękę i odciągnął na bok.

- Pragnę powiedzieć panu kilka słów w zaufaniu - rzekł - czy mogę?

- Oczywiście - odparł podróżny i słuchał z opuszczonymi oczami.

- Ten sposób dokonywania straceń, który ma pan teraz sposobność podziwiać, nie ma już obecnie w naszej kolonii żadnego otwartego zwolennika. Ja jestem jego jedynym rzecznikiem, a równocześnie jedynym obrońcą spuścizny starego komendanta. O dalszym rozwinięciu procedury nie mogę nawet myśleć, zużywam wszystkie swe siły, aby utrzymać to, co istnieje. Dopóki stary komendant żył, kolonia była pełna jego zwolenników; co do mnie, posiadam częściowo siłę argumentacji starego komendanta, ale zupełnie brak mi jego władzy; z tego powodu stronnicy jego poukrywali się, jest ich jeszcze wielu, ale żaden się do tego nie przyznaje. Gdyby pan dzisiaj, a więc w dniu straceń, poszedł do herbaciarni i posłuchał, co ludzie mówią, usłyszałby pan zapewne tylko dwuznaczne wypowiedzi. Są to sami zwolennicy, ale pod obecnym komendantem i przy jego obecnych poglądach dla mnie zupełnie bezużyteczni. A teraz pytam pana: czy z powodu tego komendanta i pań, które wywierają na niego wpływ, ma to dzieło życia - wskazał na maszynę - ulec zniszczeniu? Czy można do tego dopuścić? Nawet jeżeli jest się obcym i tylko przez parę dni przebywa się na naszej wyspie? Ale nie ma czasu do stracenia, już się coś przygotowuje przeciwko memu wymiarowi sprawiedliwości; w komendanturze odbywają się już narady, do których nie jestem dopuszczany; nawet pańska dzisiejsza wizyta wydaje mi się znamieną dla całej sytuacji; tchórzliwie posyła się naprzód pana, obcego. Jakże inaczej wyglądała dawniej egzekucja! Już na dzień przed straceniem cała dolina była pełna ludzi; wszyscy przychodzili tylko po to, aby się przypatrzeć; wczesnym rankiem zjawiał się komendant ze swymi damami, fanfary budziły cały plac obozowy; ja składałem meldunek, że wszystko jest gotowe; towarzystwo, w którym nie mogło zabraknąć ani jednego wysokiego urzędnika, ustawiało się wokół maszyny; ten stos trzcinowych krzeseł jest mizerną pozostałością z owych czasów. Świeżo wyczyszczona maszyna błyszcząca, niemal do każdej egzekucji brałem nowe części zastępcze. Pod spojrzeniem setek oczu - wszyscy widzowie, aż tam, do wzgórz, stali na czubkach palców - komendant sam układał skazańca pod broną. Czynność, którą dzisiaj ośmiela się wykonywać zwykły żołnierz, należała dawniej do mnie, przewodniczącego sądu, i była czynnością zaszczytną. I teraz zaczynała się egzekucja! Żaden fałszywy ton nie zakłócał pracy maszyny. Wielu nawet już nie patrzyło, lecz leżało w piasku z zamkniętymi oczami. Wszyscy wiedzieli: teraz staje się zadość sprawiedliwości. W ciszy słychać było tylko wdychanie skazańca, stłumione przez filc. Dziś nie udaje się już nawet maszynie wycisnąć ze skazańca silniejszego westchnienia, którego filc nie mógłby stłumić; ale wówczas piszące igły wydzielaly gryzący płyn, którego dziś już nie wolno używać. No, a potem nadchodziła szósta godzina! Nie można było zaspokoić próśb tych wszystkich, którzy chcieli przyglądać się z bliska. Komendant w swojej mądrości rozkazywał, aby przede wszystkim

uwzględnić prośby dzieci; ja z racji mojego zawodu zawsze mogłem stać blisko; często też na prawym i lewym ramieniu piastowałem dwoje małych dzieci. Jakże nas przejmował wyraz zmiany na umęczonej twarzy, jakże mieniły się nasze policzki w blasku osiągniętej nareszcie, a już przemijającej sprawiedliwości! Cóż to były za czasy, kolego!

Oficer zapomniał widocznie, kto przed nim stoi; objął podróżnego i położył mu głowę na ramieniu. Podróżny był bardzo zakłopotany, niecierpliwie spoglądał ponad głową oficera. Żołnierz skończył już czyścić maszynę i teraz jeszcze wylał z puszek papkę ryżową do miski. Zaledwie zauważył to skazaniec, który już bodaj całkiem przyszedł do siebie, zaczął chleptać papkę językiem. Żołnierz go odpychał, gdyż papka była przeznaczona na później. W każdym razie było też rzeczą nieprzyzwoitą, że żołnierz brudnymi rękami sięgał do miski i jadł z niej na oczach łakomego skazańca.

Oficer szybko się opanował.

- Nie chciałem pana wzruszać - powiedział. - Wiem, że nie można dziś dać pojęcia o tamtych czasach. Zresztą maszyna pracuje jeszcze i działa za siebie. Ona działa za siebie, nawet choć sama już tylko stoi w tej dolinie. A ciało wciąż jeszcze spada w końcu niepojęcie miękkim ruchem w głąb wykopu, choć nie gromadzą się wokół niego jak muchy setki ludzi, tak jak dawniej. Niegdyś musieliśmy zbudować nad wykopem silną barierę; już dawno ją zwalono.

Podróżny chciał odwrócić twarz od oficera i spojrzał naokoło bez celu. Oficer sądził, że ogląda on pustkę doliny; dlatego ujął go za rękę, obrócił się wokół niego, by uchwycić jego wzrok, i zapytał:

- Widzi pan tę hańbę?

Ale podróżny milczał.

Oficer odstał od niego na chwilę; z rozstawionymi nogami, z rękami opartymi na biodrach, stał spokojnie i patrzył w ziemię. Potem zachęcająco uśmiechnął się do podróżnego i rzekł:

- Wczoraj, gdy komendant pana zapraszał, znajdowałem się w pobliżu. Słyszałem zaproszenie. Znam komendanta. Natychmiast zrozumiałem, co pragnie przez to zaproszenie osiągnąć. Mimo że ma dość władzy, aby wystąpić przeciwko mnie, nie ma na to jeszcze odwagi; ale chce mnie poddać pańskiej opinii; opinii poważnego cudzoziemca. Dobrze to sobie obmyślił: jest pan drugi dzień na wyspie, nie znał pan starego komendanta ani kręgu jego myśli, pańskie europejskie poglądy są pełne uprzedzeń, być może, jest pan zasadniczym przeciwnikiem kary śmierci w ogóle, a tego rodzaju maszynowego sposobu przeprowadzania straceń w szczególności, widzi pan ponadto, jak smutno odbywa się takie stracenie bez udziału publiczności, na nieco już uszkodzonej maszynie - czyż biorąc to wszystko pod uwagę (tak myśli komendant) nie byłoby całkiem możliwe, że nie uzna pan mojego postępowania za słuszne? A jeśli nie uzna go pan za słuszne (wciąż mówię po myśli komendanta), nie będzie pan tego przemilczał, gdyż z pewnością ma pan zaufanie do swych wielokrotnie sprawdzonych przekonań. Owszem, widział pan wiele osobliwości u wielu narodów i nauczył się pan je szanować, dlatego też nie będzie się pan prawdopodobnie wypowiadał przeciw temu postępowaniu z całą siłą, jak by to pan zapewne uczynił w swojej ojczyźnie. Ale komendant wcale tego nie potrzebuje. Wystarczy mu jedno ulotne, nieogłędne słowo. Nie musi nawet ono odpowiadać pańskiemu przekonaniu, niech tylko wyda się zgodne z jego życzeniem. Jestem pewien, że będzie pana wypytywał z całą przebiegłością. A jego damy będą siedzieć naokoło i nadstawiać uszu. Powie pan na przykład: „U nas postępowanie sądowe wygląda inaczej”, albo: „U nas przesłuchuje się oskarżonego przed wyrokiem”, albo: „U nas tortury istniały tylko w średniowieczu”. Wszystko to są uwagi równie słuszne, jak panu wydają się oczywiste, niewinne uwagi, które nie dotyczą mego postępowania. Ale jak je przyjmie komendant? Widzę go, tego zacnego komendanta, jak natychmiast odsuwa krzesło na bok i śpieszy na balkon, widzę jego damy, jak płyną za nim, słyszę jego głos - damy nazywają go grzmiącym - i oto, co mówi: „Wielki badacz z Zachodu, powołany do badań nad postępowaniem sądowym we wszystkich krajach, powiedział właśnie, że nasza stara procedura jest nieludzka. Po tej opinii, wyrażonej przez taką osobistość, nie mogę naturalnie tolerować dłużej takiej procedury. A zatem z dniem dzisiejszym rozkazuję”... i tak dalej. Pan chce wtrącić, że nie powiedział pan tego, co on rozgłasza, że nie nazwał pan mego postępowania nieludzkim, przeciwnie, że w swym najgłębszym przekonaniu uważa pan je za najbardziej ludzkie i najbardziej godne człowieka, że podziwia pan również naszą maszynę..., ale jest już za późno; nie wchodzi pan nawet na balkon, który jest już pełen dam; chce pan zwrócić na siebie uwagę; chce pan krzyknąć, ale damska rączka zamyka panu usta, a ja, wraz z dziełem dawnego komendanta, jestem zgubiony.

Podróżny musiał stłumić uśmiech; a więc tak łatwe było zadanie, które on uważał za tak trudne.

Odpowiedział wymijająco:

- Pan przecenia mój wpływ; komendant przeczytał moje pismo polecające i wie, że nie jestem żadnym znawcą postępowania sądowego. Gdybym wyraził swoje zdanie, byłoby to zdanie człowieka prywatnego, znaczące nie więcej niż zdanie kogokolwiek innego, a w każdym razie o wiele mniej

znaczące niż zdanie komendanta, który w tej karnej kolonii posiada, jak widzę, prawa bardzo rozległe. Jeśli jego opinia o tej procedurze jest tak stanowcza, jak pan sądzi, wtedy - obawiam się - nadchodzi koniec tej procedury, bez mojej skromnej pomocy.

Czy oficer to już rozumiał? Nie, jeszcze nie rozumiał. Żywo potrząsnął głową, zerknął w tył na skazańca i żołnierza, którzy wzdrygnęli się i poniechali ryżu, podszedł całkiem blisko do podróżnego, nie spojrzawszy mu w twarz, lecz gdzieś na surduta, i rzekł ciszej niż poprzednio:

- Pan nie zna komendanta; jest pan wobec niego i wobec nas wszystkich, proszę mi wybaczyć wyrażenie, nieco naiwne; niech mi pan wierzy, pańskiego wpływu nie można ocenić dość wysoko.

Byłem szczęśliwy, gdy usłyszałem, że pan sam ma być obecny przy egzekucji. To zarządzenie komendanta miało we mnie ugodzić, ale ja obracam je na swoją korzyść. Niezawiedziony fałszywymi podszeptami i pogardliwymi spojrzeciami, czego przy udziale liczniejszej publiczności nie mógłby pan uniknąć, wysłuchał pan moich objaśnień, obejrzał pan maszynę i może pan teraz ze zrozumieniem przyjrzeć się egzekucji. Pańska opinia już się zapewne umocniła; jeżeli istnieją jeszcze małe wątpliwości, rozproszy je widok egzekucji. I teraz przedstawiam panu mą prośbę: niech mi pan pomoże przeciwko komendantowi!

Podróżny nie pozwolił mu dalej mówić.

- Jakże ja mogę - wykrzyknął - to jest zupełnie niemożliwe! Mogę panu równie mało pomóc, jak zaszkodzić.

- Pan to może - rzekł oficer.

Podróżny z pewną obawą ujrzał, że oficer zacisnął pięści.

- Pan to może - powtórzył oficer z jeszcze większym naciskiem. - Mam pewien plan, który musi się udać. Pan sądzi, że pański wpływ nie wystarcza. Ja wiem, że wystarcza. Ale przyjmując, że pan ma słuszość, to czyż dla utrzymania tej procedury nie należy koniecznie próbować wszystkiego, nawet, o ile to możliwe, rzeczy niewystarczających? Więc niech pan posłucha mojego planu. Do jego przeprowadzenia trzeba przede wszystkim, aby pan dzisiaj w kolonii zechciał się wstrzymać z pańską opinią o procedurze. Jeśli nikt pana wprost nie zapyta, nie wolno się panu w żadnym wypadku wypowiadać; jednakże pańskie oświadczenia muszą być krótkie i stanowcze; powinno być widać, że ciężko jest panu o tym mówić, że jest pan rozgoryczony, że gdyby pan miał być szczery, musiałby pan wybuchnąć przekleństwami. Nie żądam, aby pan kłamał, w żadnym razie; powinien pan tylko odpowiadać krótko, na przykład: „Tak, widziałem egzekucję”, albo: „Tak, wysłuchałem wszystkich objaśnień”. Tylko tyle, nic więcej. Powodów do zgorzknienia, które u pana winno być widoczne, jest dosyć, choćby były one po myśli komendanta. On naturalnie zrozumie to całkowicie błędnie i wytłumaczy sobie po swojej myśli. Na tym opiera się mój plan. Jutro odbywa się w komendanturze pod przewodnictwem komendanta wielkie posiedzenie wszystkich wyższych urzędników zarządu.

Naturalnie komendant wpadł na myśl, aby z takich posiedzeń robić widowisko. Zbudowano galerię, która jest stale pełna widzów. Zmuszony jestem brać udział w tych naradach, choć otrząsam się ze wstrętu. Otóż pan w każdym razie z pewnością zostanie zaproszony na posiedzenie; jeśli dzisiaj zachowa się pan zgodnie z moim planem, wyglądać będzie, że zaproszenie jest pana usilnym życzeniem. Gdyby pan jednak z jakiejś niewyjaśnionej przyczyny mimo wszystko nie został zaproszony, musi pan zaproszenia zażądać; nie ulega wątpliwości, że je pan otrzyma. A więc siedzi pan jutro razem z damami w łoży komendanta. On, często spoglądając w górę, upewnia się, że pan tam jest. Po rozmaitych obojętnych, śmiesznych punktach obrad, obliczonych tylko na widzów - przeważnie są to prace nad budową portu, wiecznie te prace nad budową portu! - zaczyna się wreszcie mówić o postępowaniu sądowym. Gdyby ze strony komendanta do tego nie doszło, albo nie doszło dość szybko, już ja się o to postaram. Wstanę i złożę meldunek o dzisiejszej egzekucji. Tylko ten meldunek, całkiem krótko. Nie ma tam wprawdzie zwyczaju składania takich meldunków, zrobię to jednak. Komendant dziękuje mi, jak zwykle, z uprzejmym uśmiechem i teraz nie może się już cofnąć, korzysta z dobrej sposobności.

„Złożono właśnie - tak mniej więcej powie - złożono właśnie meldunek o egzekucji. Do tego meldunku chciałbym tylko dodać, że właśnie przy tej egzekucji obecny był wielki badacz, o którego wizycie, tak niezwykle dla naszej kolonii zaszczytnej, wszyscy państwo wiecie. Jego obecność podnosi także znaczenie naszego dzisiejszego posiedzenia. Czy nie zechcemy więc zadać temu wielkiemu badaczowi pytania, w jaki sposób osądza on egzekucję dokonaną według starej metody i postępowanie sądowe, które ją poprzedza?” Naturalnie wszędzie oklaski, powszechna aprobata, ja zachowuję się najgłośniej. Komendant kłania się przed panem i mówi: „A więc w imieniu wszystkich stawiam to pytanie”. I teraz podchodzi pan do balustrady. W sposób dla wszystkich widoczny kładzie pan na niej rękę, inaczej ujmą je damy i będą się bawić palcami. I teraz w końcu pan ma głos. Nie wiem, jak wytrzymam napięcie godzin poprzedzających tę chwilę. W swej mowie nie potrzebuje pan nakładać sobie żadnych

hamulców, niech pan podniesie prawdziwy alarm, niech się pan pochyli nad balustradą, niech pan ryczy, ależ tak, niech pan wyryczy komendantowi swoje zdanie, swoje niezachwiane zdanie. Ale może nie chce pan tego, może nie zgadza się to z pańskim charakterem, może w pańskiej ojczyźnie zachowują się w takiej sytuacji inaczej, nic nie szkodzi, to także zupełnie wystarczy: niech pan wcale nie wstaje, niech pan powie tylko kilka słów, niech pan je wyszepce, tak aby usłyszeli je tylko siedzący pod panem urzędnicy, to wystarczy. Nie musi pan wcale sam mówić o braku zainteresowania egzekucją, o skrzypiącym kole, o zerwanym rzemieniu, o wstrętnym filcu, nie, wszystko to ja już biorę na siebie, i niech mi pan wierzy, jeśli moja mowa nie wypędzi go z sali, to zmusi go do tego, że padnie na kolana, że będzie musiał wyznać: „Stary komendancie, schylam się przed tobą w pokłonie”. Oto mój plan; czy zechce mi pan pomóc w jego wykonaniu? Ależ oczywiście, zechce pan, więcej, musi pan! Tu oficer ujął podróżnego za oba ramiona i ciężko oddychając spojrział mu w twarz. Ostatnie zdania krzyczał tak głośno, że zwróciło to nawet uwagę żołnierza i skazańca; mimo że nic nie mogli zrozumieć, przerwali jedzenie i zując patrzyli w stronę podróżnego.

Odpowiedź, której musiał udzielić, była dla podróżnego od samego początku niewątpliwa; za wiele w swym życiu doświadczył, by tutaj mógł się wahać; był z gruntu uczciwy i nie ulegał trwodze. Mimo to teraz, w obliczu żołnierza i skazańca, zwlekał przez krótką jak oddech chwilę. Lecz wreszcie odpowiedział tak, jak musiał:

- Nie.

Oficer wielekroć zamrugał powiekami, ale nie spuścił z niego wzroku.

- Czy chce pan wyjaśnić? - zapytał podróżny.

Oficer w milczeniu skinął głową.

- Jestem przeciwnikiem tej procedury - powiedział podróżny. - Zanim jeszcze okazał mi pan zaufanie, zaufania tego naturalnie w żadnych okolicznościach nie nadużyję, zastanawiałem się już, czy miałbym prawo wystąpić przeciw tej procedurze i czy moje wystąpienie mogłoby mieć choćby małe widoki powodzenia. Przy tym było dla mnie jasne, do kogo musiałbym się najpierw zwrócić: naturalnie do komendanta. Pan mi to jeszcze bardziej uświadomił, jakkolwiek nie pan utwierdził mnie dopiero w tym postanowieniu. Przeciwnie, rozumiem pańskie uczciwe przekonanie, choć nie może mnie ono odwieść z mej drogi.

Oficer wciąż milcząc zwrócił się do maszyny, ujął jedną z mosiężnych sztab, a potem, odchyliwszy się nieco w tył, spojrział w górę na rysownik, jak gdyby sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Wydawało się, że żołnierz i skazaniec zaprzyjaźnili się z sobą; skazaniec, choć mocno skrępowany, dał znak żołnierzowi, żołnierz nachylił się ku niemu i skazaniec coś mu szepnął, a żołnierz kiwnął głową.

Podróżny podszedł do oficera i powiedział:

- Nie wie pan jeszcze, co chcę uczynić. Wyjawię wprawdzie komendantowi mój pogląd na procedurę, ale nie na posiedzeniu, lecz w cztery oczy; nie pozostanę tu też tak długo, żebym mógł zostać wezwany na jakiegokolwiek posiedzenie; już jutro rano odjadę albo przynajmniej zaokrętuję się.

Zdawało się, jak gdyby oficer nie słuchał.

- A więc procedura pana nie przekonała - rzekł do siebie i uśmiechnął się, tak jak starzec uśmiecha się nad głupotą dziecka, a poza uśmiechem ukrywa swe własne, prawdziwe myśli. - A więc nadszedł czas - powiedział w końcu i spojrział nagle na podróżnego jasnymi oczami, w których widać było jakieś wezwanie, jakiś apel.

- Na co nadszedł czas? - niespokojnie zapytał podróżny, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

- Jesteś wolny - powiedział oficer do skazańca w jego języku. Ten z początku nie uwierzył. - No, jesteś wolny - rzekł oficer.

Twarz skazańca po raz pierwszy naprawdę się ożywiła. Czy to była prawda? Czy był to tylko przemijający kaprys oficera? Czy ten obcy podróżny wyjednał mu łaskę? Co to było? - zdawała się pytać jego twarz. Ale niedługo. Cokolwiek to być mogło, chciał, jeśli mógł, naprawdę być wolnym i począł się szarpać, o ile pozwalała na to brona.

- Zrywasz mi rzemienie - krzyknął oficer. - Uspokój się! Już cię puszczamy! - i razem z żołnierzem, któremu dał znak, zabrał się do pracy.

Skazaniec cicho, bez słów, śmiał się przed siebie, zwracał twarz to na lewo do oficera, to na prawo do żołnierza, nie zapominał także o podróżnym.

- Wyciągnij go - rozkazał oficer żołnierzowi. Ze względu na bronę należało przy tym zachować pewną ostrożność. Z powodu swojej niecierpliwości skazaniec miał już kilka małych, szarpanych ran na plecach.

Ale od tej chwili oficer prawie się o niego nie troszczył. Podeszedł do podróżnego, wyjął znowu małą skórzaną teczkę, przerzucił w niej kartki, wyciągnął wreszcie tę, której szukał, i pokazał ją podróżnemu.

- Niech pan czyta - powiedział.

- Nie umiem - odparł podróżny. - Powiedziałem już, że nie umiem odczytywać tych kartek.

- Niech pan jednak dokładnie obejrzy kartkę - rzekł oficer i stanął obok podróżnego, aby czytać razem z nim. Gdy i to nie pomogło, aby ułatwić podróżnemu czytanie, zaczął wodzić małym palcem bardzo wysoko nad papierem, jak gdyby w żadnym wypadku nie można było dotknąć kartki. Podróżny, aby przynajmniej w ten sposób okazać się grzecznym wobec oficera, także zadawał sobie trud, ale bezskutecznie. Oficer zaczął więc sylabizować napis, a potem raz jeszcze płynnie go odczytał.

- To znaczy: „Bądź sprawiedliwy!” - rzekł. - Teraz umie pan już chyba przeczytać.

Podróżny tak nisko pochylił się nad papierem, że oficer w obawie przed dotknięciem odsunął go dalej; podróżny wprawdzie nic już nie powiedział, ale było jasne, że wciąż jeszcze nie potrafi przeczytać.

- To znaczy: „Bądź sprawiedliwy!” - raz jeszcze powiedział oficer.

- Być może - odparł podróżny. - Wierzę, że jest to tutaj napisane.

- Więc dobrze - rzekł oficer, przynajmniej częściowo zadowolony, i wstąpił z kartką na drabinę; z największą ostrożnością umieścił kartkę w rysowniku i zdawało się, że gruntownie przestawił zespół zębatach kół; była to bardzo żmudna praca, trzeba było zająć się także małymi kółkami, niekiedy głowa oficera zupełnie znikła w rysowniku, tak dokładnie musiał badać mechanizm.

Podróżny z dołu bez przerwy śledził tę pracę, szyja mu zdrętwiała, a oczy bolały od słonecznego blasku, którym obsypane było niebo. Żołnierz i skazaniec zajęci byli tylko sami sobą. Żołnierz końcem bagnetu wyciągnął koszulę i spodnie skazańca, które leżały już w wykopie. Koszula była straszliwie brudna i skazaniec wyprał ją w kuble z wodą. Gdy włożył potem koszulę i spodnie, tak żołnierz, jak i skazaniec wybuchnęli głośnym śmiechem, gdyż odzież ta była z tyłu rozcięta na dwoje. Skazaniec uważał widać za swój obowiązek zabawić żołnierza, gdyż w rozciętym ubraniu kręcił się przed nim w kółko, a żołnierz kucnął na ziemi i śmiejąc się bił się w kolana. Mimo wszystko opanowali się przez wzgląd na obecność panów.

Gdy oficer był wreszcie na górze gotów, uśmiechając się, raz jeszcze objął spojrzeniem całość i poszczególne części maszynierii, zatrzasnął tym razem pokrywę rysownika, która dotychczas był otwarta, zszedł na dół, spojrzał do wykopu, a potem na skazańca, zauważył z zadowoleniem, że ów wyciągnął swoje ubranie, następnie podeszedł do wiadra z wodą, aby umyć ręce, zbyt późno zauważył paskudny brud, zmartwił się, że nie może ich teraz porządnie umyć, zanurzył je wreszcie w piasku - ta namiastka mu nie wystarczała, ale musiał się nią zadowolić - po czym powstał i zaczął rozpinać swoją mundurową kurtkę. Spadły mu zaraz przy tym do rąk dwie damskie chusteczki, które zatknął za kołnierz.

- Masz tu swoje chusteczki - powiedział i rzucił je skazańcowi. A do podróżnego rzekł wyjaśniająco: - Damskie prezenty.

Mimo widocznego pośpiechu, z jakim ściągał kurtkę, a następnie zupełnie się rozbierał, obchodził się jednak z każdą częścią ubrania bardzo troskliwie, przeciągnął nawet umyślnie palcami po srebrnych sznurach przy kurtce i otrząsnął frędzle. Nie bardzo zresztą zgadzało się z tą troskliwością, że skoro tylko uporał się z częścią ubrania, natychmiast niechętnym ruchem wrzucał ją do wykopu. Ostatnią rzeczą, która mu pozostała, był krótki sztylet z pendentem. Wyciągnął sztylet z pochwy, złamał go, zebrał potem wszystko: kawałki sztyletu, pochwę i pendent i odrzucił tak gwałtownie, aż zadźwięczało na dnie wykopu.

Stał teraz nagi.

Podróżny zagryzł wargi i nic nie mówił. Wiedział wprawdzie, co się stanie, ale nie miał prawa w czymkolwiek oficerowi przeszkadzać. Jeżeli nawet postępowanie sądowe, z którym związany był oficer, było naprawdę bliskie uchylecia - być może wskutek wystąpienia podróżnego, do którego ten ze swojej strony czuł się zobowiązany - to jednak obecnie oficer postępował całkowicie słusznie; podróżny na jego miejscu nie postąpiłby inaczej.

Żołnierz i skazaniec w pierwszej chwili nic nie rozumieli, z początku nawet nie patrzeli. Skazaniec był bardzo uradowany, że odzyskał chusteczki, ale nie zdołał cieszyć się nimi długo, gdyż żołnierz zabrał mu je szybkim i nieoczekiwanym ruchem. Teraz znów skazaniec próbował wyciągnąć żołnierzowi chusteczki zza pasa, za którym je schował, lecz żołnierz miał się na baczności. Tak przekomarzali się półzartem. Dopiero gdy oficer zupełnie się obnażył, zwróciło to ich uwagę. Zwłaszcza skazaniec zdawał się być tknięty przeczuciem jakiejś wielkiej zmiany. To, co zdarzyło się jemu, spotkało teraz oficera.

Może odbędzie się to aż do końca. Prawdopodobnie obcy podróżny wydał taki rozkaz. Była to więc zemsta. On sam nie wycierpiał do końca, zostanie jednak teraz aż do końca pomszczony. Szeroki, bezgłośny śmiech pojawił się na jego twarzy i już nie zniknął.

Oficer zaś zwrócił się ku maszynie. O ile już przedtem było jasne, że świetnie ją znał, to teraz niemal przerażało, jak się z nią obchodził i jak mu była posłuszna. Zbliżył tylko rękę do brony, a ona wielokrotnie uniosła się i opadła, dopóki nie przybrała właściwego położenia, by przyjąć oficera; ujął tylko za brzeg łóżka, a ono już zaczynało drgać; filcowy klin podsunął się ku jego ustom, widać było, że oficer właściwie go nie chce, ale wahał się tylko przez moment, zaraz się poddał i przyjął go. Wszystko było gotowe, tylko rzemienie zwisały po bokach, ale widocznie były niepotrzebne, oficer nie musiał być przywiązany. Wtem skazaniec zauważył wiszące rzemienie, a jego zdaniem egzekucja nie była zupełna, skoro one nie były związane, żywo skinął więc na żołnierza i pobiegli, by skrepować oficera. Ten wyciągnął już jedną nogę, aby pchnąć nią korbę, która powinna wprawić w ruch rysownik, gdy zobaczył, że ci dwaj nadeszli; cofnął więc nogę z powrotem i pozwolił się przywiązać. Ale teraz nie mógł już dosięgnąć korby; ani żołnierz, ani skazaniec nie umieliby jej odnaleźć, a podróżny postanowił się nie ruszać. Nie było to potrzebne; ledwie zaciągnięto rzemienie, już maszyna zaczęła pracować; łóżko drgało, igły tańczyły po skórze, brona kołysała się tam i z powrotem. Podróżny już przez chwilę patrzył na to, zanim sobie przypomniał, że koło w rysowniku powinno skrzypieć; ale było zupełnie cicho, nie było słyhać nawet najłżejszego szmeru.

Dzięki tej cichej pracy maszyna dosłownie nie zwracała uwagi. Podróżny spojrzał na żołnierza i skazańca. Skazaniec był bardziej ożywiony, wszystko go w maszynie interesowało, to się pochylał, to wyprostowywał, ciągle wsuwał palec, aby coś pokazać żołnierzowi. Było to dla podróżnego przykre. Postanowił pozostać tutaj aż do końca, ale nie potrafił znieść widoku tych dwóch.

- Idźcie do domu - powiedział.

Żołnierz byłby może na to przystał, ale skazaniec przyjął rozkaz po prostu jako żart. Składając błagalnie ręce prosił, aby mu wolno było tu zostać, a gdy podróżny potrząsając głową nie chciał ustąpić, klęknął nawet. Podróżny zobaczył, że rozkazy nic tu nie pomogą, chciał przejść na drugą stronę i przepędzić tych dwóch. Wtedy usłyszał loskot wysoko, w rysowniku. Spojrzał w górę. A więc koło zębate jednak się psuło? Ale to było coś innego. Pokrywa rysownika powoli się uniosła, a potem zupełnie odskoczyła. Ukazały się i uniosły w górę tryby zębatego koła, wkrótce wyłoniło się całe koło. Było to, jak gdyby jakaś wielka siła zgniatała rysownik, tak że dla tego koła nie pozostało już miejsca. Koło przekreśliło się aż do krawędzi rysownika, spadło w dół, potoczyło się kawałek po piasku i upadło. Ale już drugie wysuwało się w górę, a za nim wiele dużych i małych, które niemal nie różniły się między sobą. Z wszystkimi działało się to samo. Wciąż się zdawało, że teraz rysownik musi już być całkiem pusty, lecz wtedy zjawiała się nowa, szczególnie liczna grupa kół, wyłaniały się one, spadały w dół, toczyły w piasku i wywracały się. Wśród tego skazaniec zupełnie zapomniał o rozkazie podróżnego, zębate koła wprost go zachwyciły, wciąż chciał któreś schwycić, zarazem przynaglał żołnierza, aby mu pomógł, ale z przestachem cofał rękę, gdyż zaraz spadało nowe koło, które przynajmniej w pierwszej chwili napelniało go obawą.

Podróżny natomiast był bardzo zaniepokojony; maszyna wyraźnie rozpadała się w gruzy; jej spokojne działanie było złudzeniem; doznał uczucia, że powinien zatroszczyć się o oficera, gdyż ten nie mógł już myśleć sam o sobie. Lecz podczas gdy wypadek z kołami zaprzętał całą jego uwagę, zapomniał obserwować resztę maszyny. Ale gdy teraz, kiedy ostatnie koło wypadło z rysownika, pochylił się nad broną, spotkała go nowa, jeszcze gorsza niespodzianka. Brona nie pisała, tylko kłula, a łóżko nie obracało ciała, tylko z drganiem unosiło je ku igłom. Podróżny chciał wdać się w tę sprawę, o ile możliwości zatrzymać całość, to już nie była tortura, jakiej pragnął dostąpić oficer, to był zwyczajny mord. Wyciągnął rękę. Ale wtedy brona, wraz ze zmasakrowanym ciałem, uniosła się i przechyliła na bok, tak jak to zwykle czyniła dopiero w dwunastej godzinie. Setkami strumyków płynęła krew, nie zmieszana z wodą, gdyż tym razem nie działały także rurki wodne. A teraz zawiodła jeszcze ostatnia rzecz: ciało nie odrywało się od długich igieł, wykrwawiało się, lecz zwisało nad wykopem i nie spadało. Brona chciała już wrócić do dawnego położenia, ale jak gdyby sama poczuła, że nie uwolniła się jeszcze od swego ciężaru, pozostała jednak nad wykopem.

- Pomóżcie przecie! - krzyknął podróżny do żołnierza i skazańca i sam chwycił za stopy oficera. Chciał tutaj ująć stopy, tamci dwaj powinni z drugiej strony chwycić za głowę i w ten sposób należało oficera powoli ściągnąć z igieł. Ale teraz tamci dwaj nie mogli się zdecydować; skazaniec nawet się odwrócił; podróżny musiał przejść do nich na drugą stronę i przemocą popchnąć ich do głowy oficera. Przy tym mimo woli ujrzał twarz trupa. Była taka jak za życia, nie można było odkryć na niej żadnego znaku przyrzeczonego wyzwolenia; oficer nie znalazł tego, co wszyscy inni w maszynie znajdowali.

Wargi jego były silnie zaciśnięte, otwarte oczy sprawiały wrażenie żywych, ich spojrzenie było spokojne i stanowcze; ostrze dużego żelaznego kolca przeszływało czoło.

Kiedy podróżny, a za nim żołnierz i skazaniec doszli do pierwszych domów kolonii, żołnierz wskazał na jeden z nich i powiedział:

- Tutaj jest herbaciarnia.

Na parterze domu znajdowało się głębokie, niskie pomieszczenie, sklepienie na kształt jaskini, o zadymionych ścianach i suficie. Od strony ulicy było otwarte na całej swej szerokości. Jakkolwiek herbaciarnia niewiele różniła się od innych domów kolonii, które z wyjątkiem pałacowych budowli komendantury były bardzo nędzne, to jednak wywarła ona na podróżnym wrażenie historycznego zabytku - uczuł potęgę minionych czasów.

Zbliżył się, przeszedł w asyście swych towarzyszy między pustymi stolikami, które stały na ulicy przed herbaciarnią, i odetchnął chłodnym, stęchłym powietrzem płynącym z wnętrza.

- Tutaj pogrzebano starego - rzekł żołnierz. - Duchowny odmówił mu miejsca na cmentarzu. Długo się zastanawiano, gdzie go pochować, w końcu pochowano go tutaj. O tym panu oficer pewnie nie opowiadał, bo tego naturalnie najwięcej się wstydził. Próbował nawet kilka razy w nocy odgrzebać starego, ale zawsze go przepędzano.

- Gdzie jest grób? - spytał podróżny, który nie mógł żołnierzowi uwierzyć.

Zaraz pobiegli przed nim obydwaj, żołnierz i skazaniec, i wyciągniętymi rękami wskazali miejsce, w którym grób miał się znajdować. Zaprowadzili podróżnego aż do tylnej ściany, gdzie przy kilku stołach siedzieli goście. Byli to prawdopodobnie robotnicy portowi, silni mężczyźni o krótkich, czarno połyskujących brodach. Wszyscy byli bez kurtek, w podartych koszulach. Byli to ludzie ubodzy i pokorni. Gdy podróżny się zbliżył, niektórzy z nich wstali, przywarli do ściany i wpatrywali się w niego.

- To jest cudzoziemiec - rozległ się szept wokół podróżnego. - Chce zobaczyć grób.

Odsunęli na bok jeden ze stołów, pod którym rzeczywiście znajdował się kamień nagrobny. Był to prosty kamień, dość niski, aby można go było ukryć pod stołem. Pokrywał go napis, złożony z bardzo małych liter, podróżny musiał uklęknąć, by je odczytać. Napis głosił:

TU SPOCZYWA STARY KOMENDANT.

**JEGO ZWOLENNICY, KTÓRZY MUSZĄ TERAZ POZOSTAĆ BEZIMIENNI, WYKOPALI MU
GRÓB I POŁOŻYLI
KAMIEŃ.**

**ISTNIEJE PROROCTWO, ŻE PO PEWNEJ LICZBIE LAT KOMENDANT
ZMARTWYCHWSTANIE I Z TEGO DOMU
POPROWADZI SWYCH ZWOLENNIKÓW DO WALKI O ODZYSKANIE KOLONII.
UFAJCIE I CZEKAJCIE!**

Gdy podróżny przeczytał to i powstał, zobaczył, że ludzie stoją wokół niego i uśmiechają się, jak gdyby wraz z nim przeczytali napis, uznali go za śmieszny i wzywali podróżnego, aby podzielił ich zdanie. Podróżny udawał, jakby tego nie zauważył, rozdzielił między nich kilka monet, zaczekał jeszcze, aż przesunięto stół nad grób, opuścił herbaciarnię i poszedł do portu.

Żołnierz i skazaniec znaleźli w herbaciarni znajomych, którzy ich zatrzymali. Musieli się jednak szybko z nimi rozstać, bo podróżny znajdował się dopiero pośrodku długich schodów wiodących do łodzi, gdy już za nim nadbiegli. Prawdopodobnie chcieli w ostatniej chwili zmusić podróżnego, aby zabrał ich z sobą. Podczas gdy na dole podróżny umawiał się z przewoźnikiem o przejazd na parowiec, ci dwaj pędzili po schodach, w milczeniu, gdyż nie mieli odwagi krzyżeć. Ale gdy zeszli na dół, podróżny był już w łodzi, a przewoźnik odbijał właśnie od brzegu. Mogliby jeszcze wskoczyć do łodzi, ale podróżny podniósł z jej dna ciężką, węzlastą linę, pogroził im nią i w ten sposób wstrzymał ich od skoku.

Książka pobrana ze strony

[Tommy Jantarek](#)